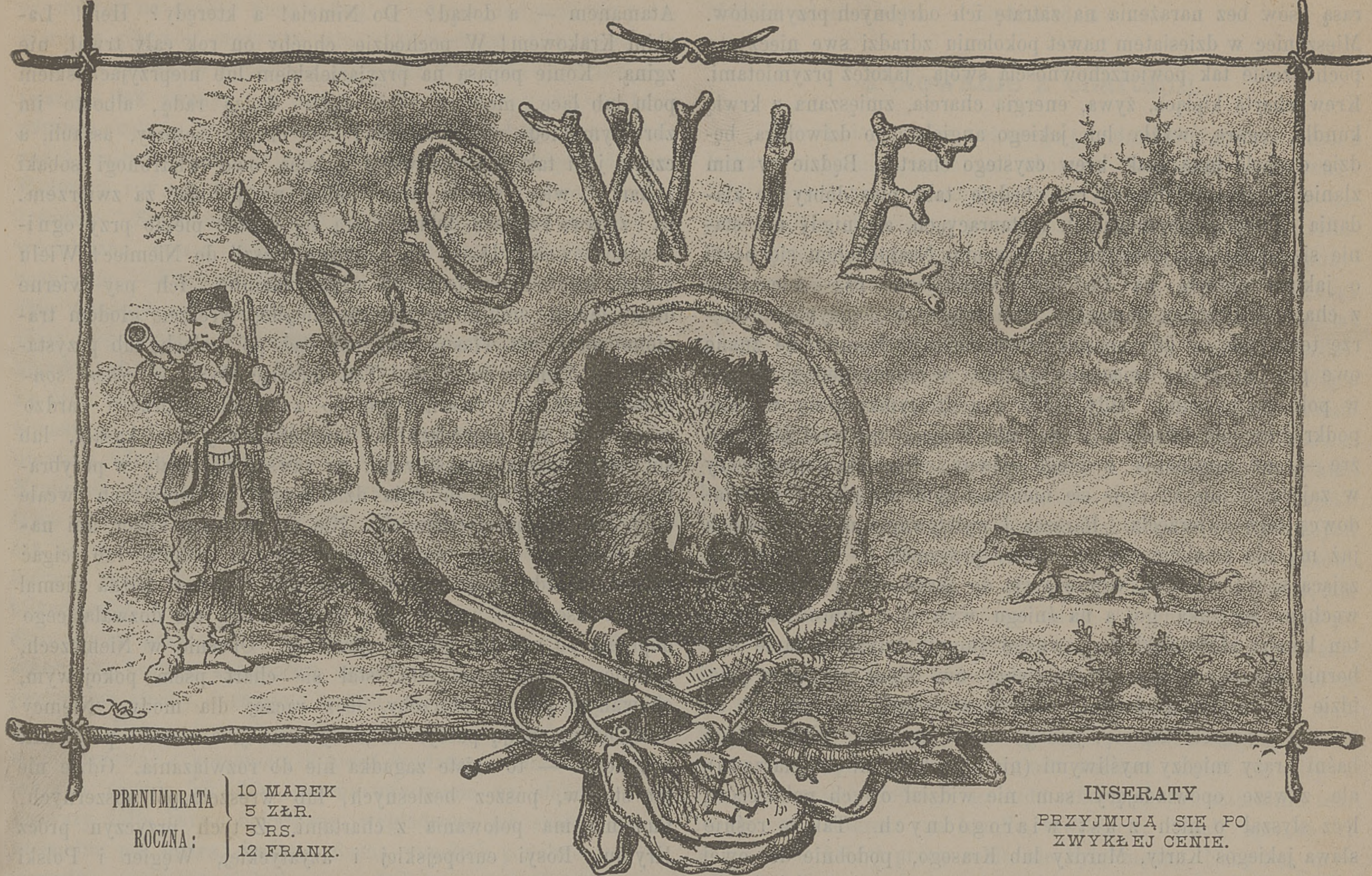
Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Brunicki Adolf br.
Koziobrodzki Władysław hr.
Popiel Stanisław.
Smiałowski Bolesław.
Tyszkiewicz Marceli hr.
Załanowski Feliks.

CHART

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Klasa III. — Pies stepowy.

(Ciąg dalszy).

Chart rasy krymskiej miał jeszcze jedną sobie właściwą odrębność w tem, iż bardzo często rodziły się szczenięta bez ogonów, i takie były bardzo poszukiwane i cenione. Według przekonania Tatarów i Kozaków, chart pierwotny t. j. w czasach swej dzikości, był zawsze bez ogona, a w miejscu jego znajdował się dwa cale długi kciuk. Twierdzą niektórzy myśliwi, że ogon długi u charta ma mu ułatwiać bieg. Przywodzą jako dowód i przykład ową starożytną strzałę, jaką wypuszczano z napiętego łuku. Dolna jej część z wetkniętemi w nią piórami wzmacniała szybkość lotu, oraz nie dopuszczała w znaczniejszem oddaleniu zniżania się ku ziemi, i wreszcie nadawała jej pęd w prostym kierunku. Być może, że dla strzału był taki dodatek potrzebnym, ale żeby ogon długi miał ułatwiać i wzmagać chyżość pędu charta — na to rozsądek zgodzić się nie pozwala. Wszak dawny Suhak, a dzisiaj sarna i zając nie posiadają ogonów, a jak szybki i wytrwały ich bieg? Obecnie, po tylu wiekach, u każdej rasy chartów, czy to krymskich czy polskich, wołoskich, a nawet angielskich, wydarzają się wypadki, że szczenięta rodzą się bez ogonów. To mnie utwierdza w wierze, iż słusznem jest mniemanie myśliwych ukraińskich zapewniających, że chart pierwotny rodził się bez ogona, czyli, że był z natury kusy. Dodatek ten, ogon u charta, mógł przybyć w skutek wpływów klimatycznych, odmiennego trybu życia i pożywienia. Zresztą przez ileżto wieków dokonywała się ta odmiana?

Mimo tego żadna inna rasa psów w takiej czystości i takiem zbliżeniu do prototypu się nie przechowała aż do naszych czasów, jak rasa chartów. Gdziekolwiek żyją, i biorą zwierzynę, muszą posiadać zewnętrzne i wewnętrzne kształty, jakie wyżej

wskazałem. Czysta rasa chartów nie da się mięszać z inną rasą psów bez narażenia na zatratę ich odrębnych przymiotów. Mięszaniec w dziesiątem nawet pokoleniu zdradzi swe nieczyste pochodzenie tak powierzchownością swoją, jakoteż przymiotami. Krew charta kipiąca, żywa, energia charcia, zmięszana z krwią kundla, ogara, wyżła lub jakiego angielskiego dziwoląga, będzie o wiele inną, jak krew czystego charta. Będzie w nim zlanie właściwości dwóch ras, będzie taki pies dobry do zjadania ochłapów po miejskich restauracyach, ale nigdy nie stanie się w pełni użytecznym myśliwemu. Nasłuchałem się baśni o jakimś chłopie na Podolu, posiadającym psa - mięszańca z charta i kundlicy, mającego brać zające w pojedynkę. Wierzę temu, ale w jaki sposób dzieje się to? Komuż nie znane owe psy chłopskie, wiecznie głodne, wychudzone, grzebiące w polu za myszami. Gdy który z nich wymknie się w pole, podkradnie pod leżącego w kotlinie zająca, zchwyci go i pożre — już kłusownik z niego pewny. Raz zasmakowawszy w zajęczem mięsie, staje się nieubłaganym wrogiem i prześladowcą tego zwierzęcia. Barszcz i wylizywanie mis chłopskich już mu nie smakuje, myszy dawny przysmak — wstrętne mu, zająca szuka. Powoli wprawia się do skradania, z jakim takim węchem wyszuka go, a na śniegu wytropi, i doprowadziwszy ten kunszt złodziejski do pewnego stopnia artyzmu, łapie wybornie zająca. Chłop wypatrzywszy ów talent w swym psie, idzie sam z nim na łowy, i wywozi zwierzynę na sprzedaż do miasta, a przechwala się, jakiego to on ma psa. Wiele takich baśni krąży między myśliwymi (nie prawdziwymi charciarzami), ale zawsze opowiadający sam nie widział owych pokurczów, lecz słyszał o nich z u s t w i a r o g o d n y c h. Tak to rośnie sława jakiegoś Kurty, Murdzy lub Krasego, podobnie do owej ludzkiej, którą lada powiew nieprzyjazny zdmuchnie jak bankę mydlaną. Wiele lat poluję z chartami, a nigdy nie zdarzyło mi się widzieć pokurcza, któryby bodaj obrot dać zdołał. Widziałem mięszańca z wyżlicy i ogara, który dobrze gonił zające, lisy i sarny w kniei, chodził na wodę, i znosił z niej ubite kaczki, nawet stawał do bekasów i przepiórek, jednem słowem, był uniwersalnym. Widziałem najczystszej rasy, białego jak śnieg pudla, równie utalentowanego, jak pies powyższy. W kniei nawet zapalczywiej gonił tak, iż zagoniwszy się daleko w góry (było to w górach Sanockich) padł ofiarą swej passyi, i wilcy go zjadły. Ale — powtarzam raz jeszcze — pokurcza charta biorącego zające nie zdarzyło mi się widzieć, i jestem pewny, że nikt mi nie wskaże takiego *curiosum*.

W dawnych czasach polowano z chartami jedynie w Krymie i na Ukrainie. Pierwsi, jak już nadmieniłem, przejęli ów sposób łowów Kozacy zaporoscy od Tatarów, oraz pierwsi oni zawiedli tego rodzaju psy na Ruś i do Polski. Mołdawija i Wołoszczyzna mają charty wprost od Tatarów, w jaki sposób, oznaczyć stanowczo trudno, ani historya, ani tradycya nie dają o tem bliższych szczegółów. Wreszcie nie idzie nam o wywód dostania się chartów do Europy, lecz raczej o stwierdzenie tezy, że charty pochodzą z Azyi. Dołączę na poparcie jej zapytania: dla czego Kozacy nazwali psa tego „chort“, a Polacy „chart?“ Czy to wyraz ruski lub polski? Brzmi on raczej z tatarska. Cały świat, z wyjątkiem Krymu, Ukrainy i Polski nie ma dla tej rasy psów innej nazwy, jak „pies“ z dołączeniem wyrazu oznaczającego jego właściwość. Dziś nie ma prawie zakątka ziemi, gdzieby charta nie było. Do Niemiec dostał się prawdopodobnie z Lisowczykami, Kozakami. Ówczesne pochody wojsk nie odbywały się w tak systematyczny sposób jak dzisiaj. Raźni ukraińscy mołojcy, dosiadłszy swych stepowych, wiatronogich rumaków, bez tych wszystkich dodatków, jak dzisiejsze furgony, wozy sanitarne i t. d. spieszyli za ojcem Atamanem — a dokąd? Do Nimcia! a którędy? Hen! Lackim Krakowem! W pochodzie, choćby on rok cały trwał, nie zginą. Konie popasą na przyjacielskiem lub nieprzyjacielskiem polu lub łące, mołojcy sobie także dadzą radę, albożto im zbrojnym kiedy chleba brakło? Od czegoż sotnicy, assauli, a często jaki taki mołojec wiódł z sobą owe wiatronogi sobaki „charty“, więc czemuż mimochodem nie pohulać za zwierzem. Ot i zabawa i strawa dobra, którą się wesoło piekło przy ognisku obozowem. Doszli do Krakowa, doszli do Niemiec! Wielu z nich legło, nie wróciło na stepy rodzinne. Ich psy wierne długo leżały, smutno wyjąc, na mogile, wreszcie głodem trapione poszły na własną rękę polować po polach, lub przystawały do Niemca na służbę. Ten dziwiąc się: *„so einem sonderbaren Hund“*. Karmił go po zwyczaju dobrze i bardzo regularnie, ale przywiązał na łańcuchu, aby nie kąsały, lub sprzedane jakiemu myśliwemu na zawsze pozostały w przybranej ojczyźnie, żyjąc do dnia dzisiejszego w potomkach wcale do polowania nieużytecznych. Nie ma tam ani stepu, ani nawet szerszego pola, na któremby można pohulać lub ścigać zająca. Każda piędź ziemi uprawna i zasiana, każda niemal mająca osobnego właściciela, żadną miarą nie dozwalającego deptania po roli jak grzęda uprawnej. Obecnie w Niemczech, z nader małym wyjątkiem, stał się chart psem pokojowym, chowanym nie dla potrzeby, lecz raczej dla mody. Niemcy w ogóle nie mają passyi do jazdy konnej, a charcie polowanie bez konia — to zaiste zagadka nie do rozwiązania. Gdzie nie ma stepów, puszcz bezleśnych, lub wreszcie pól obszernych, tam nie ma polowania z chartami. Z tych przyczyn prócz Krymu, Rosyi europejskiej i azyatyckiej, Węgier i Polski z wszystkiemi jej prowincyami, nie ma w Europie pola dla charcich łowów. Francuzi nazwali charta: *„chien lévrier“*. U siebie nie używają go wcale, ale zawieźli go do Algieru, i szczują tam zające, lisy, szakale a nawet hyeny. Łowy takie odbywają się w następny sposób: Drużyna myśliwych, złożona z bardzo małym wyjątkiem, prawie zawsze z samych oficerów, wybiera się konno w małą puszczę okolicy *Connach*, obfitującej w wszelką zwierzynę począwszy od lwa aż do zająca, który w wielu względach różni się od europejskiego, Naprzód, jest ów zając znacznie większy, rudo-siwawy, słuchy ma więcej kłapciaste, jakie ma zając egipski. Z pomięszania tych zajęcy z królikami, wytworzyli Francuzi pewien rodzaj królików z dużem i ciężkiem uchem. Zając algierski biega o wiele gorzej jak nasz. Ile na takich łowach koni, tyle też chartów. Każdy myśliwy poluje na własną rękę. Szukanie odbywa się w podobny sposób do naszego. Jeźdźcy postępują w linii, wzorem harcowników, przeszukują miejsca, w których zwierza się spodziewają. Przed kim pomknie zwierzyna, ten szczuje ją swym chartem, zawsze pojedyńczo. Gdy się trafi szakal zabłąkany, lub ohydna hyena, wypuszcza się na nie, na dany sygnał, kilkoro psów doświadczonych. Hyena lubo mniej zręczna od naszego wilka, jest jednak groźnym przeciwnikiem dla atakującego ją charta. Siła jej szczęk jest zadziwiająca. W jednej z przejezdnych menażeryi we Lwowie, będąc obecnym przy karmieniu zwierząt, uważałem, że wszystkie najgrubsze kości wołowe dawano hyenom. Zapytawszy jednego z dozorców o przyczynę tak lichego karmienia tych zwierząt, otrzymałem odpowiedź: „Ona lepszej strawy nie warta, zresztą lubią ją bardzo“. Jakoż z wielką żarłocznością pożerały podrzucone im gnaty, i z taką łatwością gryzły potężne golenie wołowe, jak najpowabniejsza dama andruty Rothländera. Doświadczeńsi myśliwi francuscy niechętnie nawet szczują hyeny, bo nie tylko narażają psy na

ciężkie kalectwo, a przezto na niezdatność do łowów, ale nadto częstokroć na śmierć niezawodną. Wiadomo, iż hyena nie przebiera w pastwie, wszystko żre, cokolwiek znajdzie, żywe czy martwe, zgniłe, w zupełnym już rozkładzie ścierwa, które wytwarzają tak zwany „jad trupi", a ten dostawszy się do krwi zdrowej, zakaża ją, i wywołuje chorobę podobną do wścieklizny i śmierć pewną, najdalej w ośmiu lub dziewięciu dniach. Podobnie i u nas roznoszą wilki i psy domowe często zarazę i śmierć. Symptomata choroby, uważanej u nas zwykle za wściekliznę, opiszę, jeżeli łaskawy czytelnik pozwoli, w osobnej rozprawie. — Francuzi, jak wyżej wspomniałem, szczują algierskie zające w pojedynkę. Nie wielka to sztuka, w biegu ów zając kiep wielki. Trzebaby naszych zajęcy-graczy na te algierskie charty, tożto mówiąc językiem myśliwskim, *woziłyby* za nimi *mydło*. Pomimo, iż algierskie zające w porównaniu z naszymi jak żółwie biegają, to jednak często się zdarza, że umykają zdrowe w zarośla, lub kryją się w bujnych trawach. Krajowcy arabowie, znając już owe myśliwskie fatalności, skoro tylko ujrzą zbliżającą się drużynę myśliwców europejskich, spieszą na stanowiska t. j. w zarośla, trawy lub na wzgórza, na których zwykł się zając kryć, lub odsadziwszy się o kroków kilkadziesiąt, w bok skoczywszy wykpiwać ścigającym chartom. Skoro tylko przycupnie, wyrostek beduin, uzbrojony „*Matrakiem*", na kroków kilkanaście rzuciwszy go, ogłusza lub rani, porywa za słuchy, i zarzyna nożem, na ten cel przywieszonym u pasa. Matrak jestto narzędzie wyrobione z młodego palmowego drzewa, z korzeniem z ziemi wydartego. Drzewo twarde jak stal, ciężkie jak ołów, mocno wysuszone na słońcu, przybrawszy żółtą barwę bukszpanu, wygładzone jak szkło, długie niespełna pół metra, nadaną formą zupełnie podobne jest do narzędzia, jakiem nasi żydowscy szkolnicy, wzywając do modlitwy wiernych, tłuką o drzwi mieszkań żydowskich. Niebezpieczną jest bronią nawet w ręku wyrostka. Godząc ostrym końcem matraka na kroków kilkanaście, na miejscu trupem położy szakala, podkradającego się pod stado owiec lub kóz. W podobny sposób, narzędziem nazwanem „*buławką*", ubijali dawni Kozacy zająca leżącego w kotlinie i wilki w „*krużok*" gonione, o czem obszerniej mówić będziemy w dokładnym opisie łowów z chartami. Francuski sposób polowania z chartami w Algierze wiernie opisałem, jak mi to opowiadał kapitan legii zagranicznej w Algierze D..... Polak, a passyonowany myśliwy.

We Węgrzech przyjął się chart bardzo dobrze. Rycerski ten naród od wieków przywykły odbywać wojenne pochody i dalekie podróże, podobnie jak Polacy, nie w wygodnej kolasie, lecz konno, z wielką passyą oddawał się polowaniu z chartami. Obszerna puszcza Debreczyńska, płaskie położenie kraju od stóp Karpat aż ku granicom Austryi, a w końcu okiem nie przejrzane równiny nad rzeką Szamosą w Siedmiogrodzie — nader odpowiedniem są polem do podobnych łowów. Chociaż obecnie chart bardzo jest rozpowszechniony w tym kraju, musieli go jednak Węgrzy nabyć od swych zakarpackich sąsiadów Polaków, lub uganiając się za Tatarami po Rusi, którą, jak wiadomo, przez jakiś czas władali. Sama nazwa tej rasy psów, jaką mu nadali, świadczy, iż nie było owych psów w tej stronie Azyi, z której przybyli ich protoplaści. Nazwali go „*Agar*" przezwiskiem nie po węgiersku brzmiącem. Jest ono albo przemianą nazwy ogara, lub też może w czasie walki z Tatarami i Turkami pozyskali pierwszego psa tej rasy od jakiego Agi, i od niego miano mu nadali. Podobnie ujrzawszy w swej nowej ojczyźnie europejskiej zwierzę im nieznane, nazwali je, zapożyczając się od sąsiadów „*Medvéd*". Czyż nie prawdopodobny wniosek, iż węgierski Agar pochodzi od naszego ogara, a Medvéd od medwidia — niedźwiedzia?

Polowanie z chartami.

Nim do tego nader ciekawego przedmiotu przystąpię, niech łaskawy czytelnik pozwoli mi zboczyć. Zboczenie to usprawiedliwione jest tem, że aby polować z chartami, trzeba je naprzód mieć. Konieczną przeto jest wskazówka dotycząca chowu chartów, pielęgnowania ich, aby z nich mieć realny pożytek, wreszcie ocenienia należytego, gdy się nie ma własnego charta, i kupnem nabywa. Kto kupował charty, wie dobrze, jak nieraz za drogie pieniądze dostał pokurcze do niczego niezdolne, lub pełne kształtów i obiecujące, a jednak liche, łowiące jakiegoś z kilkunastu zajęcy, i to młodzika. Jak w handlu końmi są szalbierze, umiejący konie z mnóstwem wad sprzedawać jako czyste i dobre, tak też się dzieje i w handlu z chartami, który jest ich specyalnością, znaczne często przynoszący zyski. Handlarze owi są pewnym rodzajem Makinionów, rekrutujących się najczęściej z oficyalistów, furmanów, lokajów i kucharzów. Ostatni szczególnie mają w tym względzie często dobrą, ale częściej jeszcze nie najlepszą sławę. Kucharze, sługując po różnych dworach, mają zwyczaj wypraszania sobie u swych służbodawców szczeniąt, które jako wybrakowane przeznaczone są na wytępienie. Mając sposobność bezpłatnego i dobrego wyżywienia tych szczeniąt, utuczywszy i wygładziwszy sprzedają je za drogie pieniądze. Jeżeli taki kucharz służył w miejscu mającem sławę dobrego gniazda chartów, to naturalnie tem lepsze robił interesa na handlu, zwłaszcza, jeżeli sprzedawał w porze, w której próby robić nie było można. Nabywca, ożywiony najlepszą nadzieją, wyjeżdża wreszcie na polowanie, szczuje chartami jednego zająca — uciekł. To nic, myśli sobie, jeszcze się nie wyciągnęły. Za nim drugi, trzeci, ba czwarty i piąty nakiwawszy omykiem chartom lizogarnkom uciekł. Gdybyż do pobliskiego lasu, gdzietam, na hańbę w czystem równem polu pogubił poprostu doskocze, i kpi sobie jeszcze. Dla czego, zapyta pewnie łaskawy czytelnik, charty pochodzące z dobrego gniazda, dobrze wychowane, miałyby być gorszymi od swych ojców? Odpowiedź prosta: Naprzód wybrano najlepsze szczenięta dla siebie, a gorsze darowano z tym warunkiem, aby nie ssały matki, bo zbyteczna liczba szczeniąt wysila charcicę, a w skutek osłabienia albo dopiero po długim czasie lub wcale już dobrze ścigać nie będzie. Szczenięta takie liche, wątłe, ponieważ dobrze nie odessały, pomimo starannego utuczenia, nigdy należytych warunków dobrego ścigania nie nabędą, podobnie jak dzwon ze skazą nigdy nie wyda dźwięcznego głosu. Znałem myśliwych rozmyślnie wybierających najgorsze szczenięta i twierdzących przy tem, że często z takich najlepsze bywają charty. Zapewne rozmiłowani byli w wszelkiego rodzaju hazardach, więc i pod tym względem ulegali swej manii, z której ich nawet liche charty wyleczyć nie mogły. Wybór szczeniąt jest rzeczą bardzo ważną. Gdy charcica szczenną była z chartem swego lub obcego, ale niezawodnie dobrego gniazda, wybiera się w czwartym dniu szczenięta dla siebie, lub gdy niepotrzebne, dla kogoś. Radzę zawsze wybierać najtęższe, choćby na pozór jak kundysięta wyglądały. Resztę nawet ujmująco ładnych wytopić należy. Barwa szerści czyli włosa, różna od obojga rodziców, niech wybierającego nie odstrasza. Natura powtarzając się, nadaje często podobieństwo zwierzętom do dziada lub pradziada, do babki lub prababki, także czasem mięszaninę barw (pstrokaciznę) ojca i matki. Najczęściej pieski barwą podobne do matki,

*

suczki zaś do ojca. Skoro szczenięta (im ich mniej, tem lepiej dla nich i dla matki) już nieco wyrosły, i dostawszy ząbków ssąc kaleczą matkę, która też odtąd sama mniej chętnie do ssania im się pokłada, dobrze im poddawać klejek z krup jęczmiennych mocno wygotowanych, i z początku suto, później coraz skąpiej mlekiem słodkiem zabielany. W ten sposób umniejszając mleka powoli, klejek powinien być zawiesitszy czyli gęstszy, aż w końcu w kaszę się przemieni, którą można mięszać z mlekiem kwaśnem, lecz w odwrotny w postępowaniu z mlekiem słodkiem sposób, z początku mniej, później coraz więcej. Gdyby po pierwszem spożyciu kwaśnego mleka szczenięta dostały rozwolnienia, i ono w przeciągu dwóch dni samo nie ustało, w takim razie polecam używany przezemnie z dobrym skutkiem korzeń *termcntilli*, który utłuc należy w moździerzu, wziąć tego proszku niepełną łyżeczkę od kawy, wsypać do strawy dla szczeniąt przeznaczonej, i zmięszać z nią dobrze. Gdyby ów środek nie skutkował, należy nasiekać surowego mięsa, porobić gałki wielkości włoskiego orzecha, i dawać każdemu z szczeniąt trzy razy dziennie po jednej. Środek ów jest niezawodny, nasunęła mi go rozwaga, iż żołądek psa jako zwierzęcia mięsożernego na razie pokarmu roślinnego znieść nie może, że przeto pokarm przez naturę dla niego wskazany równowagę zdrowia przywrócić powinien. Komu podobne żywienie psów nie czyni uszczerbku, temu radzę nie tylko w takim razie jako lekarstwo, ale jako pożywną strawę dawać szczeniętom aż do ośmiu miesięcy trzy razy w tygodniu nie siekane, lecz w kawałkach mięso. Cielę, źrebię, jagnię, spasając różne zioła, znajdują pożywienie i środki do kształcenia swego organizmu tak pod względem żył, mięśni jak i kości. Dla tego też w zimie, gdy tych środków pastwisko dostarczyć nie może, skrzętny i umiejętny gospodarz podaje im owies, marchew, buraki, koniczynę lub paszę z łodyg strączkowych, które, jak nauka twierdzi, a praktyka przekonała, tak zbawiennie wpływają na rozwój organiczny. Dla czegóż chart, który tak jest potrzebnym, i bez strzelby i śrótu dostarcza smacznej pieczeni na stoły nasze, skór lisich na ciepłą odzież, ma być do tego stopnia zaniedbanym, niewdzięcznie traktowanym, iżby za swoje ważne usługi skazanym być miał na tę wiecznie postną, i często zimną wodą rozbełtaną owsianą osypkę? Zachód zbyt wielki, odpowie mi ktoś, koszt! Drugie — prawda, lecz pierwsze? Niejeden lubownik polowania za drogie pieniądze kupuje liche charty, które w końcu idą na gałęź, a żałuje cokolwiek trudu w nadzorze, czyli też sługa parzy osypkę, lub cokolwiek grosza na mięso. Stara mówi przypowiastka: chcesz mieć dobrego konia, karm dobrze źrebię. Źle, postno, skąpo karmione charcięta zwykle wyginą na różne choroby, zanim dojdą do wieku, w którym w pole wywiedzione być mogą. Główne choroby nawidzające charty są nosacizna i drgawiec. Nie jedno szczenię w y c h o d z i s i ę jak to mówią, bez pomocy ludzkiej, inne giną. Z nosacizny najczęściej dostaje potem tak zwanego drgawca. Jestto słabość podobnej natury, jak angielska słabość u dzieci. Lekarze podają za przyczynę niedokrewność i słabość kości, u psów w kości pacierzowej się poczynająca. Szczenię aż do ukończenia roku życia swego, źle żywione, bardzo do tej choroby skłonne, dobrze żywione, ale urodzone w późnej jesieni, nie mając w czasie mrozów ciepłego schronienia, lubo mniej z natury skłonne, podlega w skutek przeziębienia tej chorobie. Łatwo ją rozpoznać, objawia się bowiem bezustannem konwulsyjnem drganiem to przedniej to tylnej łapy, lub całego zadu, albo wreszcie ciągłem jakby w takt kiwaniem głową. Młody pies nawidzony tą chorobą, jeżeli nie zginie zaraz w zimie, to zawsze prawie na wiosnę ulegnie wściekliznie. Czyż zwierzęta nie mogą, podobnie jak ludzie, być niedokrewnemi? Czyż nie posiadają również nerwów? Jeżeli na ludzkie nerwy wpływają cierpienia nietylko fizyczne, jak szorstkie słowo, smutek, wreszcie smętne tony jakiegoś utworu muzycznego, to również i na zwierzętach robią one nie małe wrażenia, jak np. głos trąbki. Niegdyś grając na skrzypcach, ile razy zacząłem rzępolić, tyle razy chart mój, on jeden tylko z trzech, wył żałośnie i uciekał. Zapewne nie pochlebne to dawało świadectwo o moim artyzmie, lecz dla czegóż ten jeden chart tylko doznawał takiego wrażenia, podczas gdy reszta zachowywała się zupełnie obojętnie? Widocznie posiadał drażliwsze nerwy. Jak wyżej rzekłem, młode źle i nieodpowiednio karmione, podlegają chorobie drgawca. Słabość ta wypływa z tej przyczyny, ale wywołuje ją również przeziębienie w czasie silnych mrozów. Pies dobrze żywiony łatwiej zniesie zimno, jak chudy a do tego młody. Tłuszcz jest dla niego w tym względzie ochroną, bo wstrzymuje zbyteczne ulatnianie się cieplika. Chart wyrosły wcale nie jest wytrwały na zimno, a cóż dopiero szczenię? Szczenięta wreszcie, choćby najlepiej żywione, jeżeli wybór legowiska zostawiony będzie ich własnemu przemysłowi, znajdą je, lecz gdzie? Albo pchają się do kuchni, potrącane i bite przez służbę, często nawet polanem, lub włażą do pieców piekarskich albo palowisk pod kotłami browarów lub gorzelń, zkąd wypędzone na noc, tem łatwiej się zaziębiają, lub parszywieją. Nie tak to wielka rzecz umieścić charty dorosłe, a nawet i szczenięta w izbie czasem opalonej. Para fur drzewa nie wyniszczy lasu. W ostatecznym razie dobrze (a może nawet najlepiej) umieścić charty w ciepłej stajni końskiej. Ztąd wypływa jeszcze i ta korzyść, że charty, których obowiązkiem chodzić koło koni, przywykną do nich. Również koń przyzwyczaja się do psów, i nie kopie ich już potem nogami, ani też, co się często zdarza, nie chwyta zębami i nie kaleczy. Młode charty dojrzałymi być poczynają: pies w połowie drugiego roku czyli pola, suka po pierwszem polu. Należy jeszcze zwrócić uwagę, aby wybierający szczenięta do chowu, lub kupujący dorosłe charty uważnie baczył, czyli pyszczki szczeniąt lub trąby chartów nie są „*poduste?*“ Wada ta pochodzi z urodzenia, i żadnym środkiem nie da się usunąć. Leży ona w tem, iż dolna szczęka krótszą jest od górnej tak bardzo, że chart, mówiąc językiem łowieckim, będzie *sypał* zającowi lub lisowi *obrót po obrocie,* a nigdy go nie *weźmie*, a nawet wziąć nie może, bo dolna szczęka jako znacznie krótsza od górnej, podchodzi często po za górne kły, i dotyka podniebienia. Każde kłapnięcie szczękami sprawia ból dotkliwy, i uniemożliwia wszelkie pochwycenie. Szczenięta obdarzone taką organiczną wadą, choćby pod każdym innym względem najlepiej się zalecały, winne być wybrakowane i utopione. Wada taka pozostaje na całe życie, i czyni charty zupełnie niepożytecznymi. Niektórzy myśliwi twierdzą, że szczenięta z tego wyrastają, jak to mówią: *wychodzą się*. Mogę jednak najuroczyściej zaręczyć, że się mylą. Z tą wadą chart w całem swem życiu nie tylko zająca, ale nawet myszy nie weźmie. — Jeżeli chart z nosacizny lekarskimi środkami lub też wcale bez nich się wyleczy, to dostaje w następstwie najczęściej drgawca, choroby nie do wyleczenia. Trapione nią zwierzę albo zwolna dogorywa, lub wpada w wściekliznę cichą, bez gwałtownych pojawów szału, i ginie rychło. U psów starszych kończy się ta choroba paraliżem krzyża i grzbietu i męczy się w takiem cierpieniu aż do skonu często do ośmiu dni, u psów zaś młodych poczyna się choroba drgawca wścieklizną i sparaliżowaniem tychże części ciała. Ponieważ drgawiec pochodzi z słabości krzyża, w nim więc naprzód, gwałtownie się objawia,

zatem gdy pies w skutek cierpień wpadnie w wściekliznę, nie ma siły do szalonego rozpędzania się i rzucania na wszystko, co mu stanie w drodze. Skoro przeto u psa pojawi się wybitnie choroba drgawca, należy go bez wahania zabić. — Psy starsze po szczęśliwie przebytej nosaciźnie dostają zwykle obrzęknienia gardła, z czego później formuje się tam guz, do wielkich często rozrastający się rozmiarów. Guzu takiego maściami merkurialną lub jodową rozpędzać nie można. Guz ten rozchodzi się w porze ciepłej, ale w zimie łatwo się oziębia i śmierć sprowadza. Jest on z początku twardy i bardzo bolesny, w miarę zmiękczenia mniej dolega. Nawet w czasie dojmujących skwarów należy chorego psa chronić od zaziębienia. Najlepiej urządzić mu legowisko w miejscu suchem, pod dachem, obwiązując całe gardło skórką zajęczą, lub w niedostatku jej flanelą, szczególnie miejsce cierpienia. Skórka lub flanela powinna być wolno koło szyi obwinięta, i tasiemkami lub sznurkami związaną, w przeciwnym razie, gdyby miejsce bolące uciskała, mogłaby być nawet szkodliwą. Jeżeli guz taki zmiękł już do tego stopnia, że palcami płynu, wypełniającego jego wnętrze domacać się można, należy go przeciąć bardzo ostrym nożem lub brzytwą, poczem owo narzędzie bardzo starannie oczyścić trzeba, płyn bowiem jest zaraźliwy dla ludzi i dla zwierząt. Po odpływie cieczy koniecznem jest wycisnąć ręką odzianą w rękawiczkę z lekka ową obrzękłość. Tę operacyę lekkiego wyduszenia należy jeszcze przez parę dni po kilka razy powtarzać, albowiem często się zdarza, że otwór w guzie, jeżeli nacięcie było zbyt małe, zasycha, a ciecz na nowo się zbiera. Nacięcie winno być najmniej na cal długie. Zaraz po przecięciu guza doznaje pies znacznej ulgi, można mu więc dać mleka lub rosołu, a w miarę ustępowania bolu apetyt powraca. W miejsce guza pozostaje mała obwisłość w kształcie torebki, która sama zwolna zchodzi. Wewnątrz przeciętego guza najlepiej wstrzykiwać szprycką, lub gdy jej nie ma sikawką zrobioną z bzu, wodą gulardową lub chlorkową, którą ostatnią oczyścić od właściwego chloru naprzód trzeba. Oba te środki spłukują ciecz, która się gromadzi. W celu radykalnego wyleczenia wstrzykuje się codziennie po kilka razy ogrzany nieco kwas salicyllowy, czyli wodę salicyllową, która łatwą jest do nabycia w każdej aptece, a jak najnowsze doświadczenia stwierdzają, nader zbawiennie na wszelkie rany działa.

Jak układać młode charty do łowów? Najlepiej wyprowadzać z własną ich matką, gdy skończą już rok życia, czasem w pole, szczując, o ile to możliwe, tylko młodziki zające. Tak przyuczą się ścigać i brać. Towarzyszyć im trzeba na dobrych koniach, i być zawsze w pobliżu ścigających młodych chartów, a w razie wzięcia zająca rychło do nich podążyć, żeby im nie pozwolić szarpać i zjeść szaraka. Taka „*zaprawa*“ bardzo dobra dla ogarów i gończych, ale bezwględnie złe pociąga za sobą skutki u młodych chartów, bo przyuczają się szarpać i psuć zwierzynę, a potem i harap ich tego nie oduczy. Wszelkie dawanie „*odprawy*“ w skokach i patrochach jest złe, a zwłaszcza przy młodych chartach, którym tym sposobem wskazuje się, że polują dla siebie. Równie jest niedobrze, gdy kto młodymi chartami w jednym dniu szczuje trzy, cztery, pięć lub nawet więcej razy, bo je wysila zawcześnie, i zamiast „*wścigać*“, „*wyściga*“ je. Nawet starymi psami rozważny myśliwy szczuje tylko raz, gdy ścigany zając, bez względu, czy go psy wzięły lub nie, był „*graczem*“, a charty długiem i forsownem ściganiem zbyt się pomęczyły. Młodzi myśliwi, a często nawet starzy, mają dziwną passyę szczucia bez miary, radziby wszystkie zające w jednym dniu wyłapać. To też takie nadużywanie sił chartów trwa rzadko dłużej, jak rok. Najlepsze charty wyścigają się tym sposobem tak, że w końcu nawet lisa nie dojdą mimo wszelkich wysileń, nie wąchnąwszy nawet jego „*fiołka*“. Chcąc młode charty wprawić do polowania na lisa, trzeba przy pierwszem szczuciu bardzo ostrożnie postępować. Jeżeli młode psy są delikatnej kompleksyi, lub, jak to mówią, łagodne, niezbyt „*cięte*“ i „*biercze*“, to trzeba się wstrzymać z takiem polowaniem aż do trzeciego roku ich życia czyli pola. Młody chart przywykły już brać zająca, zabiera się w podobny sposób do tchórzliwego wprawdzie, ale w obronie swej skóry ciętego Mekity. Jakież rozczarowanie dla charta, gdy pochwycona ofiara zamiast żałośnego głosu: *kniaź, kniaź!* odwinie się w obrocie, i utnie w nos, ucho, lub gdzie się nadarzy. Młody zuch *skowytnie*, i już zapał jego często na długo oziębiony. Raz zdradzony, przez długi czas w pościgu lęka się chwycić zdradliwego lisa. Jak to mówią: „długo daje się bić po nosie kitą“, nim mu który z towarzyszów jego wskaże; jak się to *łapimyszkę*, za kark chwyciwszy dusi, i naocznie przekona, iż nie taki djabeł straszny, jak go malują. Więc nie same, ale zawsze z starymi, winne młode charty wyruszać na lisa. Dobrze jest przyuczać młode charty do trąbki, zwłaszcza w miejscowościach, gdzie śród pól znajdują się lasy lub krzaki. W razie, gdy poszczuty zając *upaliwszy* znaczną przestrzeń, umknie do lasu lub krzaków, i wciągnie charty za sobą, to nie łatwo je nawołać i ściągnąć, a często i kilka godzin na tem się zmarnuje, gdy przeciwnie charty zwoływane do jadła codziennie trąbką, na pierwszy jej odgłos wracają. Chodzić na smyczy uczą się charty łatwo, gdy się je uwiązuje w stajni, *obtargawszy się* rychło, chodzą chętnie na smyczy przy koniu, zawsze z prawej strony jeźdźca czyli szczwacza. W razie pomknięcia zająca od pradawna używany jest okrzyk: *hajże go!* Kozacy wołali po tatarsku: *hajda*. Jeżeli charty nie chodzą na smyczy, lub nawet wiedzione na smyczy, gdy polowanie odbywa się w kilka lub więcej koni, i szereg rozciągnie się łańcuchem, a jeden z myśliwych oddalony od chartów upatrzy, czy to w *komeszy* lub roli przyczajonego zająca, i zawoła: *heco! heco!* to charty przywyknąwszy do tego głosu i rozumiejący jego znaczenie, spieszą same do wołającego, przez co ułatwione jest poszczucie. Dojeżdżacz, czyli, jak go czasem nazywają: szczwacz, powinien na to hasło szybko się zbliżyć ku upatrującemu, poczem dopiero *wyrusza się* zająca z kotliny i szczuje. Niektórzy myśliwi, zwłaszcza młodzi, mają zwyczaj krzyczeć w niebogłosy i powtarzać: hajże go! Jest to nie potrzebne i nie przyjemne. Cała drużyna myśliwska nie ma potrzeby pomykać za chartami. Taka jazda szalona bywa przeplatana śmiesznemi, ale często też tragicznemi scenami, a wtedy polowanie zamiast trwać dzień cały, w godzinie się kończy. Takie polowanie nie może się obyć bez brawury jeźdźców, niech więc przynajmniej rozwaga ją temperuje

Podałem rady, ugruntowane na trzydziestoletniem mojem doświadczeniu, odnoszące się do chowu chartów, niech mi jeszcze wolno będzie dać niektóre wskazówki kupującym charty. Kto nabywa charty czy to przez kupno, czy przez tak zwaną facyendę, niech tego nie czyni bez poprzedniej próby. Chart choćby najpiękniejszy, jeżeli źle ściga, nie da się użyć do łowów. Żadna gdyby nawet najrozgłośniejsza sława niechaj charta nie uwalnia od dokładnej i to nie jednorazowej próby. Mniej baczyć należy na piękność kształtów, bardziej na rączość, wytrwałość w ściganiu i *bierczość*, czyli zręczność w chwytaniu. Gdy się probuje charty zwłaszcza drogie, to najlepiej próbować każdego z osobna, *na pojedynkę*, i szczuć zająca gracza. A w któréjże okolicy, gdzie myśliwi trzymają charta, nie ma takiego zucha? Zając gdy mu się kilka razy umknąć udało,

takiej nabywa w biegu wprawy, że nawet najlepszym chartom się wymknie. Sprzedający charty, który je zwykł sam na smyczy wodzić, powinien w czasie wyprawy próbnej przynajmniej na 150 kroków jechać po za szeregiem koni, aby poszczucie kopyry odbyło się nie z bliskiej mety, często nawet z pod nóg końskich. Jeżeli wypadek zrządził, że poszczuty zając był istotnie znanym już graczem, i chart go wziął w pojedynkę, to już ta próba wystarcza. Kiedy charty razem gonią zająca, to przy pomyślnym rezultacie mówi się o nich: *wzięły zająca*, i już najczęściej wszystkie otrzymują patent na dobre i użyteczne, a jednak może tylko jeden między nimi jest *bierczy*, inne zaś zaledwie do *dania obrotu* zdolne, dzielny bowiem chart *sypnąwszy kopyrze tęgi obrot* i złamawszy jego bieg, wstrzymuje go, a wtedy reszta psów, jeżeli nie zbyt daleko *wlecze się za omykiem*, *dochodzi* go z łatwością, bierze między siebie, jakby bawiąc się w „podaj dalej!“ daje mu *obroty* w miejscu, i w końcu chwyta go czyli bierze. Najlepszą porą dla próby jest jesienna i to przed wieczorem. Zając żeruje w nocy, a wtedy *kicając* nieustannie, już to z powodu swej żywej natury, już też szukając dobrego żerowiska, do którego dąży choćby z milowej odległości, nażre się i zmęczy, rano więc nie tak szybko pomyka. Przeciwnie nad wieczorem pokrzepił się całodniowym odpoczynkiem, a żołądek strawił nocny żer i nowego łaknie, więc *ruszony z wiatrem pomyka*, i nie łatwy daje chartowi orzech do zgryzienia. Zdanie to opieram na własnem wieloletniem doświadczeniu, zresztą niech się myśliwy sam o tem przekona, i zajrzy w kotlinę, z której nad wieczorem ruszył zająca, ile tam znajdzie *bobków*. W czasie próby należy rozmyślnie powstrzymywać konia, i w znacznej być odległości od ścigających chartów, aby się przekonać, czyli też one w razie wzięcia zająca nie grzeszą niecnotą szarpania lub zjadania swej ofiary. Nie zbyt rychło podąża się za psami, bo wiadomo, iż nawet najbardziej w tym względzie narowisty pies, zmęczony i zadyszany nie żre zająca, dopóki dostatecznie nie wypocznie.

Wyżej już powiedziałem, iż chart bez narażenia swych wrodzonych właściwości na zupełne zatracenie nie mięsza się z inną rasą psów, że wszakże z czasem z powodu klimatu, pożywienia lub innych ważnych wpływów uległ niejakiej odmianie co do swych kształtów. Postawiłem wniosek, że pies stepowy pierwotny, protoplasta charta, musiał być podobnym do poziomo położonego S. Według sił moich starałem się uzasadnić przyczynę takiej a nie innej formacyi grzbietu tego zwierzęcia, o ile ów kształt grzbietu jest niezbędnym warunkiem rączości jego. Pęd chartów porównać można do lotu sokoła lub też wypuszczonej z łuku strzały. Ztądto Kozacy dawni, wyrażający się w obrazowych porównaniach mówili: *chort łetyt*. Również Polacy, dawni myśliwi, nazywali pęd charta *ścigiem*, ale idąc za przykładem Kozaków, mawiali o nim: *chart leci*, a rączego zwali *lotnym*. Tak więc u owego bractwa łowieckiego wytworzyło się odrębne słownictwo, którem się porozumiewali. Często jedno słowo, dla niemyśliwych dziwaczne i niezrozumiałe, wyobrażało cały okres myśli trafniej i dobitniej, jak wiele słów w tym celu użytych.

Pierwotwór charta o tyle zapewne różnił się od swych teraźniejszych praprawnuków, że miał na sobie odmienną barwę, i był może tak dużym, jak tegoczesne charty *wilczarze*, gdzieniegdzie jeszcze w głębokiej Ukrainie do dziś istniejące. Zdegenerowanie tej rasy przypisać należy oprócz wyżej wymienionym przyczynom również mięszaniu tych psów w nazbyt często bliskiem między sobą pokrewieństwie. Psów z jednego gniazda pochodzących nigdy do łączenia się z sobą używać nie należy. Potomstwo takie drobnieje, słabnie, i staje się skłonnem do różnych chorób, aż w końcu *zwiodą* się zupełnie. Wynik to prawdziwy i bardzo naturalny, nie tylko na zwierzętach spostrzegany. Kto chce mieć dobre charty, niech się postara dla swej suki o psa z obcej psiarni, wypróbowanych cnót.

Pierwotny pies stepowy, następnie chart krymski, a później kozacki, były *kosmate*, czyli długim porośnięte włosem. Z tej przyczyny wszystkie charty na Ukrainie były i są *kudłate*, jeżeli nie zmięszano ich z gładkowłosymi, *gołymi* chartami angielskimi. Że jednak nie są już tyle kudłatymi, jak prawdziwy chart Krymski, miałem sposobność naocznie się o tem przekonać. Przed laty przeszło trzydziestu dostał p. Br., obywatel z Bełzkiego, w darze od swego kuzyna smycz chartów prawdziwie krymskich. Kuzyn ów był kapitanem czy majorem wojsk rosyjskich, i stał przez długie lata z półkiem swym w Krymie. Przybywszy w odwidziny do p. Br., przyprowadził z sobą owe dwa charty. Były one maści czyli barwy masłowatej, kształt ich był wprawdzie zupełnie podobny do obecnych chartów. ale włos miękki jak pela w długich kędziorach spadał ku dołowi, unosząc się w górę za każdem poruszeniem. Były to charty w pościgu nadzwyczaj dobre, a w obec ludzi łagodne jak baranki. Osobiście towarzyszyłem im nieraz w polu, i przekonałem się, że owe krymskie charty zawsze brały zająca, nie dusząc ich. Zaprawdę nie pomnę większej przyjemności łowieckiej, jak polowanie z tymi chartami. Na okrzyk *hajda!* pomykały charty, jak wypuszczone strzały za zającem, który nie długo nimi *motając* wziętym bywał w niebogłosy wrzeszcząc: *kniaź! kniaź!* Pierwszy raz, nie znając podobnego sposobu łowienia, co tchu konia dobiegam do chartów, które u podnóża pagórka, jak mi się zdawało, duszą a może nawet szarpią zająca. Jakież było moje zdziwienie, gdy zastałem kopyrę żywego i zdrowego, z naddartą tylko nieco skórą u jednego *skoku*. Psy trzymały go na miejscu, przygniatając do ziemi przedniemi swemi łapami. Nadjeżdżający obadwaj panowie, osobliwie major, parsknął śmiechem, widząc moje zdziwienie, i rzekł: „A co, mleczaku, widziałeś coś podobnego? W Krymie wszystkie charty takie“. Dla próby odebrał major psom złapanego zająca, i puścił na wolność. Przestraszony i ogłuszony kopyra, rączej jak z kotliny pomknął, ale go wnet jeden z chartów, nieużywając już pyska, tylko jakimś sposobem kocim, uderzając z góry łapami, przygniótł do ziemi. W końcu musieliśmy, czyli raczej mnie to uczynić przypadło, uderzając zająca po za słuchy, mękom jego i życiu koniec położyć. W ten sposób wszystkie przez te charty prawdziwie łapane, bo wyłącznie tylko łapami brane zające, odbieraliśmy im żywcem. Od tegoż majora dowiedziałem się o dawnym, a do tej pory przez Tatarów używanym sposobie łapania żywcem zajęcy, o którym wyżej mówiłem. Jedną tylko miały owe charty dla naszego polowania ujemność, nie można było nimi szczuć lisa. Złapały wprawdzie z łatwością, lecz literalnie w szmaty rozdzierały złapanego Mekitę. Od tego nie mógł ich żadną miarą właściciel odzwyczaić. Kształt tych chartów zupełnie był podobny do dzisiejszych ukraińskich z wyjątkiem długiego jakby w runa poskręcanego i wielkiego włosa. Posiadały też krzyż i grzbiet niby w łuk wygięte, te same trąby szpiczaste, uszy małe z urodzenia w tył położone, pierś szerokich rozmiarów, jakie mają charty polskie, a najbardziej wołoskie, co je w pewnym względzie nieco defiguruje, a nawet często w ściganiu przeszkadza, o czem jeszcze niżej mówić będziemy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRONA POLOWANIA

PRZEZ

LEOPOLDA Hr. STARZEŃSKIEGO.

Zły świat tak woła ciągle z hałasem,
Że głupstwem jest polowanie,
I myśliwego zowie Pariasem,
Który nic zdziałać nie w stanie,
Że polowanie jest stratą czasu,
Że niszczy mienie i zdrowie,
Że zdziczeć musi człowiek wśród lasu,
I praca mu nie odpowie,
Że opuszczamy w domu małżonki,
Że kółko osierocone,
Przenosim lisy, zające, słonki.
Nad dom i dzieci i żonę.

Być może, ale mojem jest zdaniem,
I w to mam wierzyć przyczynę,
Że wszystko w świecie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

Gdzie rzucisz okiem w świecie dokoła,
Myśliwych rój się uwija,
Każdy o inną zwierzynę woła,
Zasiada i broń nabija.
Choć ta zwierzyna w różnej postaci
I łowcy różni w tym względzie,
Nikt na swych łowach czasu nie traci,
Nikt nie ustaje w zapędzie.
Moi Panowie! wy co ganicie
Lasowe łowy niewinne,
Czemuż spędzacie tak całe życie
Na łowach, które są inne?

To widząc mojem odpowiem zdaniem,
I w to mam wierzyć przyczynę,
Że życie ludzkie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

Wy łowcy! którzy na stanowisku,
Na tronach świata siedzicie,
Zamiast z Lankastra, w groźnym pocisku,
Z berła w zwierzynę mierzycie,
Wy! coście wszystkich łowów królowie.
Nasze nieznane wam trudy,
Waszą pogónką armije, wodzowie.
Zwierzyną kraje i ludy!
Wy jako łowcy słyniecie w świecie.
Rzadko wam przyjdzie spudłować,
Z taką pogónką nie trudno przecie
Po cudzych kniejach polować.

To rozważywszy odpowiem zdaniem,
I w to mam wierzyć przyczynę,
Że wszystko w świecie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

Inni w szalonym, łowczym zapędzie,
Gonią przez jakieś manowce,
To kłusownicy na cudzej grzędzie,
Cudzego mienia tropowce.
Jak dzika zgraja krwi ludzkiej chciwa,
Lecą na oślep w zawody,
Strzelecki zapał ich nie spoczywa —
Cudzej własności Nemrody!
Ci, co korony noszą na głowach,
To ich najmilsza zwierzyna,
Chaos — spoczynkiem dla nich po łowach,
Broń, nóż, nitrogliceryna.

Dla tego mojem odpowiem zdaniem,
I wierzyć w to mam przyczynę,
Że wszystko w świecie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

Tam, nad modrego brzegiem Dunaju,
Iluż to naszych dziś łowi
Choć lepsze łowy mogą mieć w kraju,
Na co polują? Któż powie?
Orzeł na wstążce, ranga, posada —
To zapolować ich zmusza,
Tam strzelców naszych liczna gromada
Frak wykrawuje z kontusza.
Obfita w zdobycz wyprawa taka,
Strzelec, gdy skończy się praca,
Lub z przytroczonym orłem do fraka,
Albo z posadą powraca.

Dla tego mojem odpowiem zdaniem,
I wierzyć w to mam przyczynę,
Że wszystko w świecie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

I wy przebaczcie mi piękne Panie,
Co życie nam tak bawicie,
Że wam postawię to zapytanie:
Po co na bale chodzicie?
Czy tam nie goni was duch łowiecki,
Panny, czy żony, czy matki?
Czyż nie pragniecie w sposób zdradziecki
Na lep wziąć ptaszka do klatki?
Zastęp młodzieży, co się tam snuje,
Czy to nie wasza zwierzyna?
Czy każda rączka tam nie probuje
Puścić rój strzał Kupidyna?

A więc znów z mojem wystąpię zdaniem,
I w to mam wierzyć przyczynę,
Że życie całe jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

A znów młodzieniec, co w ciężkim znoju,
Nigdy zdać nie mógł matury,
W mieście zajaśniał z szyku i stroju,
Różne odbywa konkury.
W Paryżu puścił część ojcowizny,
Znów dalej lichwiarz wydziera,
Aż wreszcie resztki całej spuścizny
Wziął kwindecz i — *et caetera...*
Tak zrujnowany już w każdym względzie,
Do Banku był *aspirantem*,
I w powiatowym ledwo urzędzie
Został *konceptspraktykantem*.

Wziął się do łowów, długiem staraniem,
Znalazł z posagiem dziewczynę,

Bo życie całe jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

Ale najlepsi łowcy w tym kraju
Są ci, co noszą hałaty,
Bo chłop i szlachcic, z dawna w zwyczaju,
To dla nich połów bogaty.
W przesmyku weksel zgrabnie nastawią,
Szlachcic tam leci, jak w siatkę,
Banki pogónkę potem wyprawią,
A żyd szlachcica wziął w klatkę,
I nasze knieje — żyzne zagony
Żydowska depce już stopa
Do torby żyda zwierz przytroczony, —
Niesie szlachcica i chłopa!

Więc śmiało z mojem wystąpię zdaniem,
I w to mam wierzyć przyczynę,
Że wszystko w świecie jest polowaniem,
Tylko na różną zwierzynę.

My, co polujem w polach i w lesie,
I knieja urok w nas budzi,
Myśliwski zapał ciągle w dal niesie,
Mordujem zwierza — nie ludzi,
Rycerska praca naszym udziałem,
Ubarwia łowów wspomnienie,
Z myślą swobodną i zdrowem ciałem.
A przytem — czyste sumienie!

A więc to mojem wciąż było zdaniem,
Chlubić się mamy przyczynę,
Że się zajmujem li polowaniem
Na polną, leśną zwierzynę!

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

IV.

Podziwienia godne jest przywiązanie samury do warchląt, jej troskliwość i czułość oraz odwaga w obronie swego potomstwa. W miarę posuwającego się wieku i rozrastania ciała, wzmaga się to przywiązanie i potęguje męstwo do szaleństwa, bo z narażeniem własnego życia. Ta świnia, pogardliwe zajmująca miejsce w rzędzie ssaków, posiada znakomite cnoty i zalety matki, o czem się niejednokrotnie przekonałem, i twierdzić muszę, że jedna niedźwiedzica stoi z nią na równi co do macierzyńskości, a inne łowcze zwierzęta w uczuciu, nawet się nie zbliżają do niej. Z jakąż niezmordowaną pracą ryje za żerem, i wskazuje go warchlakom, jak im ściele ciepły, miękki i wygodny barłog, to z choiny, to z traw suchych i mchów leśnych, a w braku tych materyałów znosi liście do barłoga. Czy instynktem wiedziona, czy uczuciem, zawsze miejsce dniowania zasłania od wiatru, i wyszukuje zacisze, gdy zaś w bliskości je znaleść nie może, zasłania ścianą od wiatru. Chodząc do barłogów z psami przez lat kilkanaście, napatrzyłem się tej architekturze, i podziwiałem budowniczych. Nie jeden barłóg troskliwiej i z większem wysileniem zbudowany, jak gawra niedźwiedzia, niedźwiedź bowiem częstokroć włazi do dziupła, i tam zimuje, lub też wciska się pod grube łamy; przeciwnie samura z wielką pracą przygotowuje łoże dla rodziny. Przypominam sobie dwa barłogi, których wierne wizerunki przechowała pamięć moja. Jeden oparty o łomy i kłody był okolony sciętemi przez samurę gałązkami jedliny, piętrzącemi się na kilka metrów wysokości, a tak spojonemi, że się ten budyneczek trzymał w całości pomimo zawiei i ciężaru śniegu. Drugi nad ścianą debry w gąszczu szpilkowym przedstawiał dokładnie zbudowaną altankę. Polując w Medynickiem państwie przez lat jedenaście, dziś jak wiele stołowych dóbr w rękach Izraela, pod którym zwierzyna jako nie dająca procentu i nie dostarczająca znacznych dochodów, chować się nie może, śród łozów, trzcin, szuwarów, chmielów dzikich, chwastów tropikalnych rozmiarów, napotykałem barłogi, przypominające gumna nieporządnych gospodarzy, gdzie ekonom wychowuje świnie, a gumienny w stertach wygrzewa prosięta. Otóż tam znosiły samury te suche słańska, wyrywając je ryjem, wyścielały posłanie, w około zaś barłogu wytwarzały chroniący od wiatru wał tak wysoki, że często przeskakujące dziki nie można było strzelać z powodu tej zasłaniającej barykady. Naznaczyć tu muszę odwagę i przywiązanie wykształcające się stopniowo z wiekiem, oraz troskliwość i zabiegliwość zdobytą doświadczeniem. Gdy młoda samurka porzuca swe nieliczne potomstwo, i ucieka co tchu, istne czyni *souve qui peut*, nie troszcząc się o dzieci; to stara je broni, szereguje i zabezpiecza. Możnaby mi zarzut uczynić ideologa i marzyciela, a jednak wyrażam tu głębokie moje przekonanie, oparte na doświadczeniu, że ssaki gromadnie żyjące i ptaki rozmawiają między sobą, ostrzegają się wzajemnie, dają sobie rady i wskazówki, w końcu wspierają się wzajemną pomocą. Kto przez długie lata polował na dziki, jelenie i sarny, ten podzieli wyrażone tu zdanie. W tej mowie często bez głosu są nieomylne ruchy, zabezpieczające życie, to znowu piski, mruczenia, świsty ostrzegające. Nie jest to temat, nad którym mógłbym się rozwodzić w czasopiśmie, należy on bowiem do najciekawszej nauki fizyologii zwierząt, głębokiej, dotąd nie dosyć zbadanej, a dla myśliwych nader zajmującej i pożytecznej w swych wynikach, więcej nawet powiem, bez znajomości tego moralnego obcowania z sobą zwierząt nie jest myśliwy tyle wykształcony, ile tego sztuka łowiecka wymaga. Dwa razy w życiu widziałem niedźwiedzice rozmawiające z piastunami, raz matka wzięła piastuna w łapę, pomruczała do niego i posadziła na konarze, gdzie siedział do chwili, w której chłopcy z nagónki go zdjęli; drugi piastun od rana do wieczora siedział biedaczysko na drzewie widocznie w skutek surowego nakazu spokojnego zachowania się aż do powrotu matki. Jakie owe ruchy i gestykulacye zwierząt mają znaczenie, nie zawsze odgadnąć umiemy, a badania w tej mierze są nader zajmujące. Gdy łania z podniesionemi uszami idzie, słucha i rekognoskuje, to całe stado ma w nią oczy utkwione, i nie ruszy się z miejsca, również gdy zadem nieco przysiada, wyciąga niezwykle szyję, uszami strzyże, i zchyla się ku ziemi ostrzegając stado powierzone jej opiece. Ileż to razy ona idzie naprzód, a stado stoi, cofa się lub ucieka pomimo, że ona przykładu mu do tego nie dała. Nieraz z podniesioną na chwilę nogą ostrzega towarzyszy, to znowu ku nim się zwraca, jak gdyby ich wzywała do dalszego pochodu. A ów jeleń stojący na warcie z bystrością i poświęceniem, niechylący się nawet po trawkę w czasie swej służby, ruchami daje wskazówki spoczywającej rzeszy! A jak się to zwierzęta

wzajemnie ruchami ostrzegają, zachęcają, jak się z sobą porozumiewają! A owo poświęcenie matki rodu, nadstawiającej się psom, dającej się gonić jedynie w celu ratowania swej rodziny! Najłatwiejsze badania mowy zwierząt jest u sarn. One różnobrzmiącymi głosami wyrażają swe myśli i uczucia, widocznie z łatwością się z sobą porozumiewają, a oprócz tego wzajemne ruchy są dla nich zrozumiałe. Kwilenie sarny — to przyzywanie do siebie; cichy lament — to ostrzeżenie i niepewność; kilkakrotne tupnięcie racicą — to upomnienie do baczności. Gdy sarna zchyla ciało ku ziemi, zginając swe stalowe nogi i wyciągając szyję, wtedy z pewnością żadna za nią nie pójdzie, czyni ona to, gdy wiatr powzięła, a jednak nic niebezpiecznego zoczyć nie może. Tak sarny jak jelenie ostrzegają się, zwracając uwagę przewodniczącej na przedmiot przez nią nie dostrzeżony. Często z złorzeczeniem widziałem posuwające się z tyłu dziki ku przodownikom, potrącające ich i widocznie wskazujące myśliwych. Najzabawniejsza jest sarna rozkochana do szaleństwa, gdy ją z ukochanym rogaczykiem ciśnie nagónka. Jak to ona każe mu stawać i chronić się za drzewami i łomami, lub pozostać w gąszczykach do chwili zapewnionej ucieczki. Jak ona zaalarmowana, nieustannie szukająca wzrokiem rogacza, pragnie się zbliżyć do niego, popieścić się z nim, ale groza położenia uczynić tego nie dozwala. Uczciwa samica nigdy dobrowolnie nie narazi oblubieńca na niebezpieczeństwo, z poświęceniem często o sto kroków przed nim idzie, przez pół godziny rozgląda się, a rogacza wtedy dopiero powoła, gdy się jej zdaje, że nic mu złego nie grozi. Kto często badał rozkochaną sarnę, ten ją zawsze pozna w parze, i po ruchach jej się upewni, że rogacz za nią w oddaleniu czeka.

Z miłością dotknąwszy mego ulubionego tematu, powracam do dzików. Samura rechtaniem daje rozkazy, ryjem szereguje młodzież, którą albo mężnie broni w obec człowieka, psa i wilka, lub też nakazuje jej chronić się w gąszczu i pozostawać w nim w zupełnej nieruchomości, czasem też nakazuje ucieczkę w przeciwną stronę. Grubą księgę bym spisał wyliczając dowody mowy i porozumiewania się zwierząt, nie chcę wszakże nadużywać cierpliwości czytelników, zwrócę więc tylko uwagę na spostrzeżenia przez wszystkich myśliwych czynione, że dziki w stadzie wskazują sobie przed rozprószeniem miejsce późniejszego zboru, że samura zabezpieczywszy warchlaki, oznacza im *rendez-vous*. To już nie instynkt, to rozum, pamięć i doświadczenie pożyteczne, bo przecież nie zawsze idą dziki w jednym kierunku, nie zawsze odbywają marsze w jednej odległości, a w końcu stwierdzają moje doświadczenia tu przytoczone liczne pojedyńcze sztuki, zabłąkane i nie mogące trafić do stada, więc oczywiście nie zrozumiały, nie dosłyszały lub nie otrzymały rozkazu. Mam na to twierdzenie liczne dowody, i tak nieraz goniłem z lichymi i nie bierczymi psami dziki w przeciwnych kierunkach, a czasem w kilkumilowych odległościach te same stada bez zastrzelenia żadnego. Wiem, że się czasem gromadziły dopiero drugiego dnia po mozolnem, wzajemnem szukaniu się, a bywały sztuki nie mogące już wcale odszukać towarzyszów swoich, przyłączające się do innych stad, lub żyjące nadal w odosobnieniu mimo, że miejsce zboru naznaczone było niewątpliwie.

Działo się to w naszych górach, a dzień wypadku głęboko wryty w mej pamięci. Leśni miejscowi twierdzili, że na uboczy stożkowatej góry bawił niedźwiedź, że nie wyszedł, bo go na każdej ponowie śledzili, a zatem niezawodnie tam gawruje. Była to wyprawa zaiste królewska w kilkanaście koni z 24ma chłopami, z kartoflami, mąką kukurudzianą i różnemi wiktuałami, oraz z burkami i futrami. Gdyśmy na miejscu wskazanem stanęli, było blisko południa. Po krótkim odpoczynku poszli chłopi gonić ubocz rozległości księstwa Sigmaringen, a my stanęliśmy na stanowiskach u grzbietu góry śród masztowych jodeł. Nakaz był surowy dany nagance trąbić, krzyczeć ile sił celem obudzenia i wypłoszenia niedźwiedzia. Już dochodziła godzina druga, gdyśmy głosy naganiaczy usłyszeli w tak wielkiem oddaleniu, jakby gdzieś po za lasem, a trwało to do godziny czwartej bez żadnej odmiany dekoracyi, bez ruchu i życia w kniei. Słońce jeszcze raz rzuciło promienie swoje na nas, i chylić się poczęło za góry, ośnieżone jodły zolbrzymiały i żałobną pokryły się barwą, tło zaś lasu stało się ciemne i ponure, jakby zimowy grób leśny. Naraz słyszę rechtanie dzików i ów znany dobrze myśliwym szmer pobudzający serce do żywszego bicia, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła i drżenie nóg, wreszcie pojawiła się w znacznem oddaleniu czarna plama na białej powłoce śniegu, Wiele było dzików, policzyć nie mogłem, lecz widocznie szły dwa stada, jedno za drugiem. Kiedy się ta czerń zbliżyła do mnie na 100 do 120 kroków, a na 30 do mego sąsiada, padł jego strzał, poczem usłyszałem kwik warchlaka. Wszczął się straszny zamęt w tej czarnej rzeszy i głośne rechtanie z świstem i szumem jakby zbliżającej się burzy. Stara samura fuknąwszy rzuciła się na dym strzału wciągając głośno nozdrzami powietrze, a niedostrzegłszy zabójcy swego dziecka, galopem obiegała drzewo fukając nieustannie. Obiegła siedm lub ośm razy, poczem podeszła do zabitego warchlaka, trąciła go i podniosła ryjem, jakby go do objawu życia pobudzić chciała, i powróciła do tej jodły, o którą był oparty czyli raczej do niej przylepiony mój sąsiad, którego później pytałem, czyli też w drzewie nie zostawił odcisku swej postaci. Na szczęście jego była to samura dziwnie pozbawiona wiatru, w przeciwnym razie byłaby go niezawodnie w szmaty rozszarpała, tak strasznie była rozjuszoną. Do dzisiejszego dnia pojąć nie mogę, z jakiej przyczyny nie zwietrzyła mego towarzysza. Z początku obiegała z wściekłością jodłę, później zaś wolnym krokiem okrążała drzewo, stawała, wietrzyła, fukała, a nie szła do innej jodły. W tej reprezentacyi i to było ciekawe, że druga olbrzymia samura zszeregowała warchlaki swoje i swojej towarzyszki, pędząc je za siebie i postępując przed nimi jak komenderujący oficer. Zmrok nie dozwolił mi strzelić, rozpoznawałem wprawdzie dwa ogromne dziki i rój mniejszych, lecz ledwie dostrzegłem zarysów zwierząt. Scena opisana trwała najmniej przez 10 minut, dla nas pełnych wzruszeń, dla mego sąsiada trwogi i przerażenia. Wreszcie powróciła samura do stada, i po dosyć długiej rozmowie zebrały się wszystkie dziki, przeszły przez linię myśliwych i skryły się w czarnych ciemnościach lasu. W jakim stanie był zabójca warchlaka, nie potrzebuję opisywać, jeden rys tylko zcharakteryzuje dostatecznie jego ówczesny nastrój duszy. Gdyśmy się zbliżyli do siebie, rzekł do mnie: „Ani pięciu minut byłbym dłużej nie wytrzymał, nogi mi się trzęsły i uginały, byłbym padł na ziemię i stał się pastwą rozjuszonej bestyi“. — W jednej chwili piętrzyć się poczęły choiny, bo góral zawsze ma przy sobie toporek, naganiacze poczęli dla nas budować altany (koliby), ścielono w koło miękkie, zielone posłanie, a w środku rozniecono ognisko, w którem można było wielu heretyków naraz spalić. Mieliśmy spory zapas *aquae vitae,* herbaty, bigosu i wędliny, humor wyborny, pogadankę zajmującą, wyobraźnię podrażnioną i nieco gorączkową, a przytem próżnię w żołądkach niezwykłą. Do tej chwili był to istny raj przy dosyć chłodnej temperaturze, lecz z każdą godziną usposobienie nasze pogorszało się, i niebawem cierpkie narzekanie wszystkie te rozkosze przytłumiło. Pie-

kielna noc, nigdy nie zapomniana! Obraz cudowny, zachwycający, w głębi pamięci mocno wryty! Sklepienie niebios gwiaździste, blaskiem promieniejące, nad nami świecący księżyc blady, jakby rekonwalescent po ciężkiej chorobie, przed nami stos gorejącego drzewa i płomienie rwące się ku gałęziom jodeł, liżące i zapalające je, w powietrzu pryskające iskry, wokoło noc ciemna, cicha, gdyby noc duchów. Przedemną żar piekła, za mną mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, sprawiający bole torturowe. Zadrżałem febrycznie, wstałem i odwróciłem się do ognia, i znowu piekło z tyłu, ziębiło dotkliwie z przodu. Wyjmuję zegarek, i z przestrachem widzę dziewiątą zaledwie godzinę, ciarki po mnie przebiegły, gdy obrachowałem, że śród tych dwóch ostateczności ognia i mrozu przebyć muszę jeszcze dziesięć godzin. Poszedłem do drugiej koliby, a tam inny przedstawił mi się obraz. Leśni i naganiacze leżą w posłaniu z choiny gęsto, jak śledzie w beczce, i śpią spokojnie snem sprawiedliwych trzymając w zębach krótkie fajeczki. Na głowie czapki z lisów, naszywane, kożuszki do kolan, szarawary z płótna i krypcie na nogach. Tak spali jak zabici! Jak owe lalki u fryzyerów i modnistek, tak ja kręciłem się przez całą noc, a gdym się zdrzemnął na kilkanaście minut, wnet budził mnie mróz lub skwar. Wreszcie z czarnej ciemnoty wynurzać się poczęły jodły, coraz gęstsze i widoczniejsze, brzask oświecił nas, niebo się ukazało z bledniejącemi gwiazdami, więc chórem zawołaliśmy: „Chwała Ci Panie!" A było wtedy przy zupełnie cichem powietrzu 17° mrozu. W naszej kolibie cisza, w drugiej wrzawa, gwarzenie i krzątanie się koło ognia, bo chłop zawsze głodny. Mróz trzaskący towarzyszył polowaniu Koło południa zginęła waleczna samura, niebo się poczęło chmurzyć i huculi oświadczyli, że jeżeli nas zachwyci śnieżnica, wszyscy poginiemy, więc zwinąwszy nasz obóz dobiliśmy się późno w nocy do wsi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Ostrów, 4 Marca 1880 r.

Otrzymawszy sprawozdanie z obrad Walnego Zgromadzenia galic. Towarzystwa łowieckiego, czuję się jako członek tegoż Towarzystwa poniekąd obowiązanym do przesłania moich zapatrywań co do dwóch wniosków na tem Zebraniu dyskutowanych, z których jeden dotyczący kart myśliwskich przyjęty, drugi zaś o słonkach traktujący do Wydziału odesłany został. Uważając wnioski te raczej za szkodliwe celom Towarzystwa, a dyskusyę odnośną na Zgromadzeniu za wcale niewyczerpującą, poruszam raz jeszcze tę sprawę dla lepszego wyjaśnienia rzeczy lub zapobieżenia złemu, gdyby zapatrywanie moje słuszną miało podstawę.

Przystępując do rzeczy, zaczynam od wniosku dotyczącego kart myśliwskich. Sprawozdanie wniosku tego — wyznać muszę — zrobiło na mnie wrażenie jakiegoś *exposé* ministerstwa finansów, gdyż nie siląc się wcale na argumenta, przedstawiono rzecz jako uniknąć się niedającą konieczność, powołując się jedynie i dodatkowo na przepisy odnośne w innych prowincyach Monarchii istniejące. Takie argumentowanie nikogo o pożyteczności ustawy przekonać nie może.

Gdyby wniosek ten bardziej był motywowany, byłaby się nad nim niezawodnie żywsza wywiązała dyskusya, która jedynie pożyteczność lub szkodliwość proponowanej ustawy wykazać mogła.

Według mego, może najbłędniejszego zapatrywania, zawiera wniosek ten same ujemne strony, które tu wyliczyć sobie pozwolę:

1. Nakłada on niczem nieusprawiedliwioną kontrybucyę i to wyłącznie tylko na porządnych i sumiennych myśliwych, kłusownik bowiem, który nigdy jeszcze o ustawy się nietroszczył, dla którego jest rzeczą zupełnie obojętną, do kogo obszar, na którym on rzemiosło swoje prowadzi należeć może, który nareszcie kartę uprawniającą do noszenia broni (*Waffenpass*) za przedmiot zupełnie zbyteczny uważa, nie będzie przecież więcej skrupulatnym w obec kart myśliwskich. Między Panami, którzy w sprawie tej głos zabierali, nie widzę ani jednego, któremuby wydatek 5, 10 a nawet 15 reńskowy mógł zrobić różnicę; po za tem kołem jednak jest jeszcze wielka liczba myśliwych, którym opłata taka może być uciążliwa, a których niegodzi się pozbawiać przyjemności polowania bez żadnej racyonalnej przyczyny.

2. Oprócz ciężaru opłaty, ponosiłby myśliwy często jeszcze rozmaite niedogodności i przykrości z tytułu tych kart: często z własnej winy przez zapomnienie, często z winy lub chęci c. k. organów wykonawczych. Wyliczać takowe byłoby zbytecznem, wskażę tylko na §. 6. lit. *d.* i na §. 8, które bardzo łatwo mogą dać sposobność do sekatury i nadużycia.

3. Skutek Ustawy samej byłby wręcz przeciwny temu, jaki wniosek osiągnąć zamierzał; karty myśliwskie bowiem jako przynoszące dochód staranoby się jak najliczniej rozdać, jeśliby ich już ludziom formalnie nie wpychano.

Na zasadzie zaś kart wydanych musianoby i z kartami na broń (Waffenpasami), które dziś jeszcze dość oględnie wydawane bywają, równie liberalnie postąpić, a więc znacznie więcej takowych wydawać.

Sprawozdanie powiada i cały wniosek tem jedynie motywuje, że:

„Wiadomo bowiem, że szczególnie na obszarach gminnych, niektóre polowania są w rękach ludzi nie dosyć dbałych o tę ważną gałęź kultury krajowej, myśliwych - dyletantów, którzy polują, bez przestrzegania należytego porządku i niezważając na przyszłość, zwierzynę całkowicie wytępiają", dalej: „co więcej, w polowaniach biorą udział częstokroć ludzie niemający pojęcia o sposobie użycia broni palnej i zaniedbujący należytej ostrożności, a w skutek tego nader niebezpieczni dla uczestników polowania, z tego powodu wydarzają się też przy polowaniach często nieszczęśliwe wypadki", i konkluduje nareszcie: „Najlepszym zatem sposobem zapobieżenia tym anomaliom, jest projekt niniejszy, władza polityczna bowiem znająca stosunki lokalne oceni najlepiej, czyli starającemu się, kartę myśliwstwa udzielić należy i usunię od udziału w polowaniach tych, którzy przez swe nadużycia znani są jako szkodnicy".

Odnośne do tego, postawiłbym dwa zapytania, które najwyraźniej wykażą, że potrzeba zaprowadzenia kart myśliwstwa zupełnie uzasadnioną nie została.

a) Czy jest rzeczą możebną, aby c. k. władze polityczne odmówiły wydania karty myśliwskiej temu, który posiada polowanie własne lub wydzierzawia takowe na mocy istniejących i obowiązujących już ustaw o łowiectwie, które i tak są bardzo wymagające, bo żądają, aby każde polowanie własne czy najęte zostawało pod kierownictwem i dozorem fachowego egzaminowanego oraz i odpowiedzialnego strzelca? Odpowiedź na to przecież bardzo jasna: Byłoby to niemożliwością w Państwie wolności i konstytucyi!

b) Czy jest rzeczą możliwą, aby c. k. władze polityczne odmówiły komuś karty myśliwskiej na zasadzie, że tenże z bronią obchodzić się nie umie, jeżeli przeciw niemu w tym względzie żadnego śledztwa karnego nie było i jeśli w ogóle nie zachodzi żadna prawna przyczyna odmawiania mu tak zwanego Waffenpassu?

Odpowiedź na to równie jasna: Jak długo przy Uniwersytecie nie będzie utworzoną katedra sztuki obchodzenia się z bronią, a myśliwi nie będą obowiązani doktoryzować się z tej umiejętności, tak długo i to jest niemożliwe; egzamin bowiem przed c. k. Starostą z góry wykluczam.

4. Stworzyłaby ustawa taka rozmaite trudności w wykonywaniu polowania, co się okaże z następnego przykładu: Każdy właściciel polowania ma na swoim obszarze zamieszkałych amatorów myśliwych jako to: oficyalistów, kucharzy, służących i innych, którzy często na polowaniach improwizowanych bywają prawie niezbędni, cóż więc z nimi zrobić?

Przypuściwszy, że c. k. władze zechcą wydać dla nich karty, to naprzód wydatek taki byłby już bardzo znaczny, a oprócz tego miałby medal jeszcze jedną stronę odwrotną t. j. iż nie zawsze chętnie — osobliwie wyjeżdżając z domu — chciałoby się widzieć ludzi takich, uzbrojonych w legalne dokumenta myśliwskie. Należałoby im regularnie karty te odbierać; co jednak uczynić, gdy zmienią miejsce zamieszkania? C. k. władza polityczna bowiem nie może przecież odmówić legalnemu posiadaczowi karty myśliwskiej odnowienia tejże, tem bardziej, skoro żadnej władzy niewolno zgóry przekroczenia lub zbrodni przewidywać, a wobec prawa każdy jest czysty i niewinny jak baranek, jeżeli nie zachodzą wyraźne poszlaki lub nie było śledztwa.

5. Nareszcie najgorszą stroną wniosku tego jest to, że może mieć wszelkie widoki powodzenia wobec Sejmu i uróść w ustawę, a to z tej prostej przyczyny, że każdy rząd, zatem i krajowy chętnie bierze, skoro dają.

Myliłby się zaś, ktoby sądził, że równie chętnie działać będzie na korzyść jednego tylko stowarzyszenia lub korporacyi.

Przy tej sposobności pozwolę sobie jeszcze zauważyć, że cel, jaki wniosek powyższy osiągnąć zamierzał, jest już w zupełności ustawami istniejącemi osiągnięty, i że proponowana ustawa o kartach myśliwskich żadnego nowego postanowienia w sobie nie mieści. Uważałbym ją więc tylko jako spotęgowany środek do osiągnięcia celu już poprzedniemi ustawami jasno określonego. Jeżeli zaś chodzi o środki takie, to jak sądzę znalazłyby się o wiele skuteczniejsze; jak np.:

1. Jeżeli opłata 10 do 15 złr. jest możliwą i pożądaną, to najlepiejby było, aby członkowie Towarzystwa takową do kasy Towarzystwa wnieśli. Fundusz taki rozdany pomiędzy delegatów sprężystych do użycia według ich uznania, niezawodnie skuteczniejby działał od kart myśliwskich, a to w rozmaitych kierunkach.

2. Opodatkowanie po prostu broni, ewentualnie psów myśliwskich osobliwie chartów i wszelkich przyrządów łowieckich, działałoby również znacznie skuteczniej od kart myśliwskich, osobliwie przy znacznej karze pieniężnej w razie zatajenia przedmiotu podatkowi podlegającego.

Tym podobnych środków dla skutecznego popierania ustaw istniejących wieleby się jeszcze mniej lub więcej praktycznych, znalazło, żaden jednak złemu stanowczo niezaradzi.

Według mego widzenia są tylko dwie ustawy, któreby rzeczywiste poparcie łowiectwu krajowemu dać mogły, ale te, osobliwie druga, byłyby prawie niemożliwe do przeprowadzenia w Sejmie.

1. Jako broń ku osobistej obronie służyć może tylko broń sieczna; z palnej zaś: krucica, rewolwer lub pistolet; każda zaś strzelba bądź pojedynka, bądź dubeltówka uważaną być ma za broń czysto myśliwską i nikt takowej nawet w domu posiadać nie może, skoro na nią wyraźnie opiewającego pozwolenia (Waffenpassu) nieposiada. Wydawanie zaś Waffenpassów powinnoby być pod tym względem ściśle unormowane.

Dziś chwycić kłusownika jest rzeczą prawie niemożliwą. Nieznam etymologii tego wyrazu; w każdym razie jednak, jeśli on nie dlatego jest kłusownikiem, że dobrze kłusuje, to niezawodnie kłusuje on doskonale, bo jest kłusownikiem. Jakże go więc dostać?

Wszystkich kłusowników na moim obszarze zamieszkałych ja sam mam zaszczyt znać osobiście, a przecież nic im zrobić nie mogę; ale niech ustawa powyższa dziś wejdzie w życie, a jutro całą furę broni wiozę do Starostwa.

2. Druga ustawa skierowana wprost przeciw właścicielom i dzierżawcom niszczącym własne polowanie, opiewałaby mniej więcej tak:

Władza polityczna ma prawo oraz obowiązek zamknąć polowanie, względnie zabronić polować nawet uprawnionym na tych obszarach, na których zwierzostan z jakiejkolwiekbądź przyczyny znacznie wyniszczony został, a to na rok jeden, dwa lub trzy, stosownie do stopnia wyniszczenia. Rozumie się samo przez się, że to jest tylko treść, ustawa sama wymagałaby znacznego opracowania.

Drugi wniosek, przeciw któremu niniejszym listem się zwracam, żąda ustawy przeciw strzelaniu słonek w czasie ciągu wiosennego. Na poparcie wniosku tego podano: „Ponieważ ustawą Wysokiego Sejmu z d. 30 Stycznia 1875 r. zabroniono w pewnych porach roku zabijać zwierzynę, gdy ustawa ta jednak nie została rozciągniętą stosownie i na słonki, które w porze parowania się strzelane być mogą itd.“ Otóż zaraz na wstępie zauważyć muszę, iż ustawa ta nie tylko nie została rozciągniętą stosownie na słonki, ale również i na wszelkie ptactwo błotne i wodne, dalej na dropie i pardwy nareszcie nawet i na cietrzewie i głuszce rozściągniętą nie została, gdyż wszystkie te ptaki (z ostatnich rozumie się tylko koguty) w czasie parowania się strzelane być mogą, a to ku wielkiej rozkoszy myśliwych.

Dlaczego wniosek taki przez Galicyjskie Towarzystwo łowieckie stawiany, a przez Galicyjski Sejm uchwalonym być ma, skoro sprawa wyłącznie jest internacyonalną, tego zupełnie pojąć nie mogę.

Każda ustawa, jakaby nie była, powinna się opierać na słuszności, sprawiedliwości i rzeczywistej potrzebie. Tych warunków niniejszej ustawie zupełnieby brakło, a przez to samo ustawa narażonąby być musiała na brak posłuchu i poszanowania.

Zadaniem ustawy łowieckiej powinno być: strzedz i pilnować zwierzyny krajowej, jako bogactwa krajowego, oraz ochronić pewne pożyteczne zwierzęta od zupełnej zagłady. Słonka zaś nie jest ani własnością kraju, ani też nie zagraża jej dotąd wcale zagłada; nacóż więc taka ustawa?

Z ogólnej liczby słonek kulę ziemską zamieszkujących, obiera kierunek swój w czasie ciągów wiosennych przez Galicyę zaledwie może miliardowa, wyrazić się niedająca cząsteczka (o cyfry statystyczne dokładne, to już p. Hausnera prosić wypada). — Z tej małej cząsteczki zginąć może na wiosnę zaledwie $^1/_{30}$ lub $^1/_{20}$, z tego zaś zaledwie $^1/_4$ lub $^1/_3$ część będą samiczki, które oszczędzone, powracając w jesieni z rodziną, znowu myśliwym całego świata i takby pod lufę przyszły.

*

W obec tego na cóż się przydać może nasza galanterya wiosenna dla pań dzióbowatych?

Stosunek powyższy okaże się jeszcze bardziej rażącym, gdy się uwzględni to, iż są lata, w których słonki kraj nasz prawie zupełnie omijają.

Że szanowanie słonek tak skrupulatne nie przyniosłoby łowiectwu krajowemu żadnej, choćby najmniejszej korzyści, (a oto przecież tylko może nam chodzić) wypływa już jasno stąd, iż kierunek ciągu słonek zawisł jedynie od wpływów atmosferycznych, a nie od naszych ustaw, boż widzimy co roku, że po doskonałym ciągu wiosennym następuje często bardzo najfatalniejszy ciąg jesienny lub *vice versa*.

Nareszcie zauważyć muszę, iż statystyka myśliwska internacyonalna wcale nie wykazuje, z wyjątkiem jedynie niektórych poszczególnych miejscowości, aby się ilość słonek od najdawniejszych czasów umniejszyć miała; przeciwnie, dobre ciągi obecnie częściej się powtarzają i są jeszcze obfitsze niż dawniej bywały. Co do Galicyi, zdaje się, iż to samo poświadczyć możemy.

Nie widzę więc bynajmniej, z jakiego względu ustawa taka dla kraju potrzebną, a tem mniej korzystną być może. Ujemne zaś strony ustawy takiej byłyby: Kraj straci kilka lub kilkanaście tysięcy złr., które z ciągów wiosennych pobierał, nie otrzymawszy nic zgoła w zamian; myśliwi zaś stracą wielką i niczem wynagrodzić się niedającą przyjemność, gdyż słonka na wiosnę jest dla myśliwego tem, czem jest pierwsza miłość dla 20-letniego młodzieńca. *Władysław hr. Baworowski.*

Ponikwa, w Marcu 1880 r.

P o l o w a n i e n a ł o s i e u A l e k s. S k i r m u n t a. W gubernii Mińskiej, trzy mil od Pińska leży śród lasów wieś Porzecze, siedziba p. Skirmunta. Tam nad brzegiem małej rzeczułki rozłożyło się całe miasto fabryk, zakładów przemysłowych i gospodarczych, tam stanął staropolski dom, słynny ze swej gościnności, z patryotyzmu gospodarza, szeroko otwartych bram, w które porą zimową co roku zajeżdża liczna drużyna polskich myśliwych, daleko brzmiącą sławą Porzeckich polowań na łosie, serdecznem zaproszeniem gospodarza zachęcona. Litwa, Wołyń, Ruś Biała, Ukraina, Królestwo, Galicya i Poznańskie ubiegają się w dostarczaniu dzielnych myśliwych, dla których strzał do łosia jest sowitą nagrodą za mozoły dalekiej podróży pocztą, śród ubogiego Polisia, gdzie w miasteczku znajdziesz zaledwie parę jaj i kęs chleba razowego.

Już przy wstępie do dworu Porzeckiego poznasz, że tu musi być stolica łosi. Ściany ozdobione ich potężnymi rogami, kobierce, szaragi, trzonki od nożów, świeczniki z ich skór i racic wyrobione. Wszystko przemawia do duszy myśliwego, pokrzepia jego nadzieję, zwątloną długą podróżą śród lasów dziewiczych.

Po sutym obiedzie, myśliwi zagrzani stuletnią starką litewską, rozochoceni nadzieją jutrzejszych łowów, zasiadają przy staropolskich kominach do łowieckiej gawędy, a podczas gdy strzelają w ogniu bukowe kłody, nie jeden z opowiadających celnym strzałem powala niedźwiedzia lub łosia, pali dublet do rysiów, lub oddech wstrzymując podskakuje do grającego głuszca. Nim wybije godzina spoczynku, już platonicznie wybito całą na Litwie i Żmudzi osiadłą zwierzynę, nie darowano nawet biednemu bielakowi, nie przepomniano też o najdrapieżniejszym tych krajów zwierzu, który od lat stu w swych szponach nieszczęśliwą krwawi Litwę. Nie dziw więc, jeżeli tymi opisami rozgorączkowany myśliwy, nie znajdzie w nocy snu, jeżeli skóra łosiowa, na której spoczywa, wyda się twardą, jeżeli dnia doczekać się nie może. Wybiła dziewiąta — długi szereg sań zaprzężonych dzielnymi żmudzkimi końmi zajechał przed ganek — ruszamy. Ćwierć mili od dworu rozsiadły się ogromne bory, w nich żyją setki łosi, ciężką zimą na brzegi wygnane, to też co krok widzisz tropy podobne do śladu wołu, większe jednak i dokładniej wyciśnięte, — tu młode pędy i gałązki jakby skoszone, nieomylna to cecha żerowiska łosi. Ledwieśmy do lasu wjechali, pokazuje mi woźnica klempę i łosiuka, na kroków kilkanaście od drogi stojące i ciekawie nam się przypatrujące. Kazałem stanąć, i przez dłuższą chwilę przyglądam się królowi tych lasów, który naszą obecnością nie spłoszony, najspokojniej ogryzać zaczął otaczające go krzewy. Na szerokim przyrębie każdy zajmuje wyznaczone stanowisko, wielu ustawiają się w klamrę, bo łoś lubi wymykać flanką długiego ostępu. Róg daje znak rozstawionym dawno huczkom i na drączkach niecierpliwie skomlącym ogarom. Ruszyła obława, w dali słychać przeciągłe jej świsty i głośne nawoływania, przed nami drzemie jeszcze puszcza, świerki i sosny grubą przysypane okiścią, zasłaniają zupełnie widnokrąg, zaledwie na polankach lub halawach dojrzeć możesz na kroków kilkadziesiąt. Terazto wybierać musisz uważnie luczki, przez które będziesz mógł puścić kulę, aby nie kalecząc niewinnych drzew, śmiertelnie zwierza ugodzić. Lecz to krótka chwila, już cała knieja ożyła głosem ogarów, w dali trzask pękającego lodu na bagniskach zwiastuje umykające stada łosi. Nagle strzał jeden i drugi — wnet inne im wtorują — teraz baczność! bo i na ciebie może św. Hubert łaskawem spojrzeć okiem. Stałem już sporą chwilę z wytężoną uwagą, z gotowym sztućcem, strzały padały gęsto około mnie, a przedemną zapust sosnowy jak zaklęty nie chciał się otworzyć, ukazując upragnionego zwierza, i już nawet traciłem nadzieję słysząc waraźniej i bliżej głosy obławy. Nagle tentent, łomot i trzask, na kroków sześćdziesiąt wypada pełnym kłusem na sztych duży łoś. Bez namysłu przykładam, mierzę w piersi.... Łoś jak błyskawica znika w gęstwinie, nie mogę nawet drugiej kuli słać w pogoń. Kwadrans, nim doszła obława, przeżyłem w bolesnem rozczarowaniu, przecież sztuciec pewny, nie jeden już odyniec podpisał swoją farbą jego krwawy dyplom, mierzyłem w samą pierś, gdyby strzał był celnym, powinienby łoś na miejscu zostać, musiałem w pospiechu zerwać, kula pewnie poleciała w niebiosa lub ziemię zaryła. Przeklinałem mój pospiech, czemuż nie przypuścić zwierza bliżej, a wtedy możeby się udało na połeć pewniejszą razić go kulą. Wreszcie widzę śród gęstwiny futrzaną czapkę pińczuka, to obławnik, więc spieszę na strzał — jest farba, jest i włos, przedzieram się przez zarośla, — kilkadziesiąt kroków dalej leży śliczny łoś już martwy, kula przeszyła go na wylot. Czy znasz bracie myśliwy tę chwilę, w której znajdziesz zwierza, o którym już zwątpiłeś? Jakaż to rozkosz serce napełnia, jaka duma, jak sam sobie chwalisz celność twego strzału!

W miocie tym padło cztery łosie, w dwóch dniach polowania ogółem sześć łosi, dzik jeden i zajęcy bielaków dwa.

Zwyczajem litewskim wypiwszy na trupach lampeczkę *staruszki*, ruszyliśmy do domu, gdyż tu nie lubią przeciągać polowania do późna, aby polewka się nie przydymiła lub miodek nie skwaśniał. Wyborne chrapy i pieczeń łosia zajmowały honorowe miejsce naszego myśliwskiego *menu*, a omszone flaszki w poważnej liczbie świadczyły o licznych, przeróżnych toastach.

„I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
„A com widział i słyszał, w „Łowcu“ umieściłem“.

Emanuel Dunin hr. Borkowski.

Bobin, 25 Lutego 1880 r.

Pomnik dzikowi. W r. 1876 w Sierpniu donosi gajowy z spokojnego mojego lasku w Kongresówce, w tej chlebodajnej ziemi Proszowskiej, która jednak w bieżącym roku nie chleba, lecz długów nam przysporzyła, iż leżą w nim dwa stare dziki i trzy warchlaki. Naturalnie powątpiewam, bo najbliższa stała ich rezydencya jest w lasach Margr. Z. W. i J. D., o pięć mil odległych, a między temi pola, gaikami umajone. Jadę wszakże na wskazane miejsce, i znajduję rzeczywiście dzicze buchty i szkółki niemi zruinowane. Gajowy nalega, by corychlej zapolować, gdyż się wyniosą. „Nie — odpowiadam — panowie dają mi sposobność strzelania dzików u siebie, pragnę przeto godnie im się odwdzięczyć, a więc szkółkę ogrodzić, ciszy przestrzegać, a twoich kartofli nie żałuj, polowanie będzie jak zwykle w Listopadzie. Przez całą jesień dziki się nie wynoszą, ryją kartofle, brodło z owsem ledwo stoi, w szkółkę się dostały, — ja wszystko znoszę cierpliwie. Około 10 Listopada ponowa, tropy codziennie objeżdżane, w wilią polowania oznaczone stanowiska — dziki są, 17go wyjeżdżając na łowy proszę gości, by mieli kule w jednej lufie, a z drugiej do wszystkiego strzelali. Przy ustawianiu na stanowiskach w pierwszym miocie, przypadł losem Nr. 6 hr. A. W., zaleciłem mu baczność, na tem bowiem stanowisku każdy lis z owego 16-morgowego miotu wychodzić musi, a oparłem to twierdzenie na dwudziestoletniem doświadczeniu. Jakoż lubo jedną tylko śrutową lufą się posługiwał, zabił trzy lisy, czwartego z powodu spóźnionego włożenia naboju chybił, a piąty wyszedł na jego sąsiada, stojącego o 50 kroków. Tyle ich tylko było w miocie, i tyle tym zwykłym traktem ku wieczności dążyło — dzików wcale nie było! W drugim i trzecim miocie tuż przy pierwszym (w tych dzików się spodziewałem, wskazać jednak ich legowiska nie można było z powodu mnóstwa różnych tropów, czyli raczej z przyczyny, że gdzie nie ma tych czarnych bestyi, tam ich tropić nie umieją) gęsta była kanonada do drobnego zwierza — dzików nie było! — Kule zawadzały, wszystkie więc przeszły do ładownic. W czwartym dwunastomorgowym miocie, bo lasek nie wielki, dla dłuższej zabawy sztucznie go dzielić wypada. Już po gęstych strzałach, nagónka nader wolno idąca, z początku *pianissimo* się odzywająca, później *crescendo*, wreszcie wrzasnęła *fortissime* „pilnuj dzika“, niby wielkiego miotu dochodząca. Hr. A. W. i hr. F. Ł. widząc już na sto kroków dzika, tak szybko kule włożyli, iż zdołali za nim strzelić, i zapewne obadwa strzały były trafne, bo dzik z obu stron natychmiast farbował. Służba leśna u mnie profany, a że z gości nikt za dzikiem iść nie miał ochoty, mnie zaś nie wypadało gości odstępować, a proszono mnie, bym polowania nie wstrzymywał, — sądziłem więc, że dzik oblęgnie, i że go w następnych miotach znajdziemy. Zastosowałem się do życzenia, i cóż się stało? O 2000 kroków sąsiedni włościanie, ciekawi skutku polowania na zwierzę, które im tyle szkody wyrządziło, stali na swej granicy i dzika kijami dobili. Podział łupu natychmiast nastąpił, a w nocy bankiet i gęste libacye, przemyconą więc tanią galicyjską okowitą, potęgującą i tak już sporą wesołość i pomagającą do trawienia świeżej, dość niestrawnej strawy.

Nazajutrz polowaliśmy w innym lasku. Wracając około miotu, w którym hr. A. W. trzy lisy zabił, zapragnął on jeszcze raz ów miot spróbować, zsiadamy więc z sanek, lecz hr. H. W. brat ornitologa i pogromcy dzików, mysliwy doświadczony, zauważał błąd wczorajszego rozstawienia myśliwych i nagonki w tymże miocie, zniewalający do zbyt ścieśnionych stanowisk. Według wskazówek jego rozstawiłem myśliwych na dłuższej linii poprzecznej, również nagankę, a że ona miała walczyć z pewnemi trudnościami, objąłem sam komendę prawego skrzydła. Naturalnie pierwszy śmiertelny strzał padł z ręki hr. A. W. do wynoszącego się lisa, później kilka innych. Naraz odzywa się głos: „pilnuj dzika!“ — Dzik defiluje przed myśliwymi, którzy nie chcą na próżno strzelać, wreszcie wychodzi na stojącego na flance hr. W. M., który strzela dwa razy wprawdzie śrótem, ale razi śmiertelnie na 15 kroków. Dzik po dwakroć się wygiął, ale przeszedł gościniec. Ja nie mając zwyczaju strzelać do zajęcy, gdy się u mnie poluje, miałem w ręku sztuciec. Kula więc zadała mu cios ostateczny, bez którego i tak wkrótce byłby się położył. Ponieważ granica była bliską, a sąsiedzi znowu czatowali, obawiałem się powtórzenia wypadku z wczorajszym dzikiem, wbrew przeto zasadom gościnności dobiłem dzika, czem wszakże zasługi pierwszemu trafnemu strzałowi nie odjąłem.

Po łowach pomyślnym uwieńczonych skutkiem, obiad był wesoły. Lubo przy sąsiednich brzegach Wisły znajdywane bywają kości Mammuta, dziczych tam nigdy nie ma, dzik więc do osobliwości w ziemi Proszowskiej należy. Z tego powodu wniesiono, by mu na miejscu, w którem padł, pomnik postawić. Różni różne proponują napisy, to wierszem, to prozą, to nie dość krótkie, to zbyt długie, wreszcie dwa wyrazy *„Łoś dzikowi“* — zdobyły dla siebie wieniec konkursowy, a mój dobry znajomy W. G. z Krakowa, architekt i wykonawca wspaniałej świątyni kosztem S. J. z Jurkowa wzniesionej, ofiarował mi estetycznie wykonany model dogorywającego dzika na wspaniałym postumencie, a na jego boku czyli bocznej ścianie umieścił powyższy napis wraz z datą. Ja obowiązałem się spiesznie postawić ów pomnik w naturalnej wielkości.

Alfred hr. Łoś.

Krasiczyn, 10 Marca 1880 r.

W sprawie wiosennego polowania na słonki. W ostatnich czasach często powtarzało się zapytanie, ażali polowanie na słonki podczas wiosennego ciągu nie wpływa szkodliwie na rozmnażanie się tego gatunku ptaków. Jakkolwiek pytanie to z naukowego stanowiska nie zostało jeszcze stanowczo rozstrzygnięte, to jednak wywołało żywą usilność w kierunku projektowania ustawy, wzbraniającej strzelanie w naszym kraju słonek w porze wiosennej! Na ostatniem Walnem zgromadzeniu Tow. łow. pojawił się wniosek, poparty przez wielu członków, mający na celu odniesienie się z petycyą do Sejmu w sprawie ochrony słonek na wiosnę. Przeciw owej petycyi ośmielamy się poczynić niektóre uwagi, które według naszego przekonania koniecznie poruszyć należy, zanim ostateczna zapadnie uchwała. Nie można odmówić słuszności twierdzeniu, iż polowanie na słonki w czasie ich wiosennego ciągu jest niekorzystnem dla ich rozmnażania się, ale tylko o tyle, o ile to się odnosi do wiosennego polowania w ogóle. Niezawodnie polowanie z nagonką lub buszowanie jest nader szkodliwem, tępi się bowiem nie tylko samce, ale może jeszcze bardziej samice. Inaczej wszakże dzieje się przy polowaniu na ciągu. Pewnem jest, że u słonek liczba samców przeważa, niemniej też, iż słonki wieczorem i z brzaskiem dnia ciągnące i niskim wabiące głosem są tylko samce, strzelane przeto słonki na ciągu są prawie bez wyjątku rodzaju męskiego. Wybijając samce, nie tylko nie wykracza się przeciw zasadom gospodarstwa łowieckiego, ale przeciwnie postępuje się racyonalnie. Wszakże bije się na wiosnę nadliczbowe koguty głuszców i cietrzewi, a nawet koguty kuropatw, gdy ich za wiele, ułatwia się tem zapłodnienie kur i

zabezpiecza się im spokojne wysiadywanie jaj. Co do słonek. to jeszcze i ten wzgląd idzie na szalę, że największa ich ilość ginie na buszowanem i na pogonkach, stosunek zaś ubitych na ciągu w porównaniu do poprzednich jest wcale nieznaczny. Jeżeliby więc w tym względzie jaka powinna zapaść uchwała, to według naszego zdania ma ona się odnosić do buszowania i pogonki. Wzgląd zaś, że gdyby Ustawa taka stała się prawem, myśliwi na buszowanego i z pogonką musieliby polować tylko na ciągu, i może z tego powodu liczba zabijanych słonek się nie zmniejszy, łagodzi się tem, że naprzód polowanie na ciągu nie jest co do liczby tak wydatnem, a powtóre dotyka ono przeważnie samców. — Projektowana Ustawa opiera się jeszcze na przypuszczeniu, iż słonka jest miejscowym ptakiem, stale się u nas gnieżdżącym. Tego jednak bezwzględnie twierdzić nie można. Wprawdzie lęgnie się u nas słonka, lecz tylko w górach w większej cokolwiek ilości, te zaś, które na równinach ścielą swe gniazda, są to nie liczne samice zaskoczone przedwczesnem macierzyństwem, muszą tedy u nas składać jaja, kiedy już są dojrzałe, ale i one nie zostają aż do jesieni, lecz gdy potomstwo podrośnie, przenoszą się wraz z niem na północ. Ochrona słonek nie przynosi nam przeto bezpośredniej korzyści, gdyż to co u nas się ochroni, zginie w krajach północnych. Ochraniając słonki w porze wiosennej, wyrzekając się strzelania ich na ciągu przyjemności tak rozkosznej i tyle poetycznej, robilibyśmy wcale nie potrzebną ofiarę na korzyść naszych sąsiadów północnych i północno zachodnich, do ofiar zaś nie przynoszących nam pożytku nie jesteśmy obowiązani. Tylko w takim razie ofiara nasza byłaby połączona z dobrze zrozumianym interesem własnym, gdyby polowanie wiosenne nie tylko u nas, ale wszędzie było zabronione, czego wszakże spodziewać się nie możemy, w krajach bowiem, w których słonka jest ptakiem przelotnym, taka ustawa nigdy w życie nie wejdzie.

Poruszyliśmy tych kilka uwag przekonani, iż wielu myśliwych podzieli z nami to zdanie, nie uczyniliśmy tego jednak z uroszczeniem, jakobyśmy kwestyę tę już ostatecznie rozstrzygnęli, owszem jest to obszerny przedmiot dyskussyi, i bardzo byłoby pożądanem, aby i inne głosy choćby nam wręcz przeciwne, w tej sprawie się odezwały, sądzimy bowiem, iż nim jaka rzecz stanie się zwyczajowem lub pisanem prawem, naprzód wszechstronnie rozpatrzoną i omówioną być powinna. Może też zaszczytnie znany badacz przyrody i myśliwy, wielce szanowny korespondent z Olejowa raczy objawić w tej mierze swoje zdanie, a pewnie znalazłoby ono należyte uznanie i ocenienie w sferach decydujących. *Kazimierz Remiszewski.*

Z Pokucia, w Lutym 1880 r.

W numerze lutowym „Łowca“ pojawił się bardzo sympatyczny artykuł o wielce nas interesującym psim rodzie. Autor bardzo dokładnie z praktyki rzecz tę traktuje. Pozwolę sobie jednak w ciągu dalszego toku tego artykułu robić uwagi nad nim. Zdaje mi się, że najwięcej wadliwy jest podział, chociaż sz. autor stara się ukształtować go według sposobu pożywienia naturalnego, ale ostatecznie podział, jak mogę z poczętego artykułu wnosić, głównie stosuje się do uszów. W tym względzie, sądzę, można się z autorem nie zgodzić, bo zdaje mi się, iż zęby są główną podstawą w wyszukiwaniu żeru u zwierząt, budowa więc zębów i szczęki są najważniejszym warunkiem podziału. Autor nadmienia o psach wodnych, że posiadały uszy kłapciaste, u których owe kłapcie nie dopuszczały wody do wnętrza ucha. Tu również zdaje mi się, że autor nie dosyć starannie zwrócił uwagę na sposób pływania psów, jakoteż na położenie, w jakiem się uszy przy pływaniu znajdują. Delikatne, kłapciaste uszy wcale nie zamykają otworów usznych, lecz spływają po bokach. Psu legawemu prędzej się woda w uszy naleje, jak zwyczajnemu kundlowi, uszy jego bowiem nie tylko nie odpychają wody, ale owszem za każdem poruszeniem całego ciała, stulają się, i zbliżają ją więcej do wnętrza. Proszę wrzucić do wody głębokiej legawca i kundla. Pierwszy będzie długo uszami trząsł, by wydalić znajdującą się w nich wodę, gdy przeciwnie kundel ostrouszek tylko szerść obtrząśnie i rusza dalej. Zresztą jako dowód praktyczny weźmy psy eskimosów, które podobno najbardziej z całego rodu zbliżają się do natury, one mają ciągle z wodą do czynienia, i bywają tylko rybami żywione, i same sobie ryby łowią. Budowa ich jest wysmukła, do charciej podobna, przód znacznie wyższy od zadu, co cechuje głównie charta, uszy zaś krótkie spiczaste, stojące. Za wywodem autora przemawiają natomiast psy z Nowej ziemi. Psy z tej familii, jakie u nas się znajdują, tak znacznemu uległy przerodzeniu, że ich za wzór podawać nie można. Widziałem jednak psy z Nowej ziemi importowane. Te mają uszy stojące, szerokie, i tylko końce kłapci nieco zwieszone. — Dalej twierdzi sz. autor, iż pies leśny ze szpiczastemi uszami ma wstręt do wody, i nie jest, a raczej nie był wstanie złowić ryby, i t. d Zdaje mi się, że najbardziej zbliżonym do pierwowzoru może być lis, bo ma budowę zupełnie podobną do opisanego psa leśnego, któż jednak ze starych myśliwych nie widział lisa bobrującego po wodzie za żabami, wężami i t. d.? Wieleż to kaczek ściąga lis ze sadzawek, a wiele gęsi wilk z jeziora? Oba mają uszy szpiczaste. — Co do szczekania, które według twierdzenia sz. autora, jest wyłączną cechą psiego rodu, to podlega ona wielkiej wątpliwości. Zdaje się to być cechą psów trzymających się człowieka. A. Smith powiada, że psy amerykańskie nie szczekające, uczą się tego od europejskich, następnie przytacza, że pies zdziczały szczekać zapomina, oswojony zaś napowrót szczeka. Słusznie twierdzi Darwin *(The variation of animals and plants under domestication.* London 1866), że pochodzenie psów jest tak ciemne i niepewne, jak i innych zwierząt domowych. Prof. Jejteles zgadza się z Darwinem, że psy nasze pochodzą od różnych dotąd żyjących psów dzikich z wyjątkiem wilka. Jako podstawę do tego przypuszczenia bierze zęby, i twierdzi, że u wilka ząb mięsożerny jest zawsze dłuższy, od obu tnących, czego u psów nie uważamy. *(L. H. Jejteles. Die Stammväter unserer Hunderacen).* Wywodzi on psa naszego od różnych innych gatunków, i tak pies szakal *(canis aureus)*, z którym razem może być wzięty pies torfowy *(canis familiaris palustris)*, istniał od najdawniejszych czasów. Jego potomkowie mają być nasze jamniki, pincze, szpice. Dalej pies *Bheria (canis pallipes)* kopalny w Europie w wieku bronzowym. Od niego pochodzą charty, pewne większe gatunki psów pasterskich, i niektóre psy myśliwskie *(Bluthunde).* Afrykański pies *(canis lupaster)*, od którego pochodzi na pół zdziczały pies miast tureckich, wywodzący się przeważnie w jamach. Przyswojony ów pies uczy się szybko szczekać. — *Jejteles* mówi dalej, że i psy dzikie, *canis latrans*, *primaevus*, *magellanicus*, *lagopus*, bardzo prędko się szczekać uczą w towarzystwie człowieka. Wiele jest obecnie ras psów, wątpię, by kto dokładnie mógł wyliczyć. Fitzinger podaje: „Co do krzyżowania się ras swojskich z dzikiemi (wyjąwszy wilka, który zdaje się być jednego rodu z hyeną), dotąd nic stanowczego powiedzieć nie można. Naprzykład pokolenie lisa i szpica jest płodnem, pies nagi *Paraguaju*, już dosyć pospolity w Europie, a nawet u nas, nie łatwo się łączy z naszymi. (C. d. n.) *J. B.*

KRONIKA.

Kraciejowice.

Ciekawą przeprawę miałem miesiąc temu na polowania z ogromną maciorą, której strzałem ze sztućca złamałem przednią lewą nogę powyżej kolana. Przybiegłszy na trop i ujrzawszy, że silnie farbuje, a do tego co kilkanaście kroków przewraca się, kazałem puścić na trop dwa psy mięszane ogary z kondlami, i sam poszedłem za nimi. Tak biegłem prawie godzinę słysząc ciągle z daleka naszczekiwanie psów, aż wreszcie usłyszałem, że psy stanowią w miejscu. Przyspieszyłem kroku i po chwili byłem na 40 do 50 kroków od maciory, odcinającej się psom. Gdy ta ujrzawszy mnie w ogromnych susach wprost na mnie iść zaczęła, mając w ręku tylko strzelbę śrótem nabitą, gdyż sztuciec zostawiłem po strzale, przypuściłem ją blisko, i na dziesięć może kroków wystrzeliłem mierząc w samo czoło. Po strzale maciora przewróciła się, wnet jednak powstała i rzuciła się ku mnie. Teraz zaczęła się gonitwa dość długa na około sosny, dokoła której uciekałem wciąż przed nią, aż pośliznąwszy się upadłem jak długi. Maciora przeskoczyła przezemnie a ujrzawszy o kroków parę gajowego, który w tej chwili nadbiegł, ku niemu poskoczyła. Ten nie mając strzelby, krył się za sosnami. Ja zaś powstawszy pobiegłem mu na pomoc, strzał mój jednak chybił celu. Maciora po moim strzale znowu do mnie się zwróciła i powtórzyła się scena tańca naokoło sosny. Po chwili nareszcie maciora zmęczona już bardzo siadła po drugiej stronie sosny i ryjem odpędzała psy, obróciwszy się grzbietem do mnie. Skorzystałem z tej chwili i wydobywszy kordelas, przyskoczyłem do niej i wepchnąłem go jej aż po samą rękojeść w komorę. Maciora rzuciła się tak, że mnie nawet obaliła, drugiem jednak pchnięciem dobiłem ją nakoniec. Była to jedna z najpiękniejszych macior, jakie kiedykolwiek widziałem. *Jan F. hr. Zamoyski.*

Kopeczyńce, 10 Marca.

Wielce do Münchhausenowskich opowieści podobne, a jednak prawdziwe zdarzenie podaje do „Łowca". Lat temu cztery, węglarz Hawryło, zapaliwszy na Halinie węglarkę, siedzi sobie na kłodzie kurząc pod nosem fajeczkę, i słyszy w zagajeniu po prawej i lewej stronie jakieś rzewliwe głosy. Po chwili wychodzi z jednej strony jeleń widłak, z przeciwnej zaś szóstak, a działo się to podczas rui. Wnet rozpoczyna się między nimi walka zacięta, a węglarz przypatruje się jej swobodnie, będąc pewnym, że ona tylko chwilkę trwać będzie, i że współzawodników łatwo pojawieniem się swem wobec nich przepłoszy. Wstaje tedy z kłody, zbliża się ku walczącym, i woła: *„daj pokij!"* ale walka trwa jeszcze zażartsza. Hawryło ufny w swe siły chwyta w prawą dłoń koronę szóstaka, w lewą widłaka, a można sobie wyobrazić, jaką to niespodzianką było dla owych militantów. Mocując się z jeleniami Hawryło gubi lulkę, a w obawie, by go nie rozdarły, wreszcie czując dotkliwy ból w dłoniach pokrwawionych perełkami rosochów, wypuszcza je z rąk, a jelenie umykają w przeciwne strony. Już węglarz był pewnym, że ich jako żyw nie ujrzy, aliści po chwili pojawiają się, i z nowym ferworem zabierają się do walki, ale Hawryle odpadła już ochota do czynnej interwencyi, więc patrzy tylko i pomrukuje: *„dit'ko tia bery, psiawiro"*. Noc zapada, i śród jej ciemności znika wszystko z przed oczów Hawryły, który wprawdzie odszukał swą lulkę, ale z poranionemi rękami miał przez dni kilkanaście do czynienia.

Przez lat wiele trzymałem Wiedeńską „Jagd. zeitung", kilka razy była tam poruszona myśl niestrzelania słonek na wiosnę, ale zawsze upadła, bo też jest niepraktyczną i niemyśliwską. Chyba głuchy jak pień łowiec może takiego projektu być zwolennikiem. — Dobra to myśl, by kłusownik suto (bogdaj nawet 20 złr.) płacił za kartę myśliwską, wtedy może nie jednemu z nich odpadnie ochota do owego przemysłu, a kraj nasz na polu łowiectwa zrówna się, wkrótce z Czechami. Niechby jeszcze oprócz tej wysokiej opłaty, kłusownik zchwytany na gorącym uczynku płacił karę lub przesiedział się ruski miesiąc w areszcie i tracił raz na zawsze prawo używania broni myśliwskiej. Naturalnie surowe kary nie ominęłyby w takim razie także kłusowników wojujących sidłami, cewkami, żelazami i t. d. Ale przedewszystkiem baczności i dozoru sprężystego i czujnego nam potrzeba tak ze strony właścicieli obszarów łowczych jakoteż Władz. *F. S.*

Walka z dzikiem. Z Buczacza donoszą: Żandarm Jan Strzałkowski, wysłany na patrol, przechodził dnia 20 Lutego przez wieś Jarhorów, którą zastał w popłochu i przerażeniu. Olbrzymi dzik, postrzelony poprzednio przez pana Witołda Starzyńskiego, rozjuszony i wściekły od bolu, wpadł do wsi, wdzierał się na podwórza i rzucał na ludzi, siejąc trwogę do koła. Gromada mieszkańców uzbrojonych w siekiery i drągi, usiłowała ubić rozwścieklonego zwierza, a ujrzawszy żandarma, prosiła go o ratunek. Żandarm strzelił kilka razy do dzika i zadał mu kilka ran, ale rozjuszony zwierz rzucił się ku niemu, tak, że żandarm musiał się bronić bagnetem. Dzik pchnięty bagnetem w głowę, z tem większą furyą rzucił na żandarma, powalił go na ziemię i zadał mu dwie ciężkie rany. W tej chwili jeden z włościan spiesząc z ratunkiem powalonemu, ugodził dzika tak silnie siekierą, że ta utkwiła w cielsku, a zwierz wraz z nią popędził dalej. Na polach za wsią dzik dopadł włościanina, obalił go i podarł na nim odzież, nie zadając mu na szczęście ciężkiego uszkodzenia, poczem popędził na pola Zadorowskie, gdzie osłabiony padł i został dobity. Dzik ten miał 1 metr wysokości a przeszło półtora metra długości. W cielsku jego znaleziono 20 kul. *Gaz. nar.*

Krukienice, 15 Lutego 1880 r.

Upraszam o umieszczenie w „Łowcu" niniejszego sprawozdania ubitej w Krukienicach zwierzyny. Mimo udzielonego nam przez Wys. c. k. Namiestnictwo pozwolenia, nie zabiliśmy ani jednej kozy, lubo one u nas nie chorują i nie giną. W sąsiednich rewirach: Radochowce, Rogożno, Bylice 70% sarn padł z choroby, której, jak się zdaje, przyczyną są mokre łąki śród lasów. Według mego przekonania przyczyniły się również rzepaki do tej choroby. Gdy śniegi są małe, to sarna znajdzie dosyć innego żeru, a rzepaku tylko trochę używa na wety; w tym roku zaś śniegi zawaliły, żeru nie poddawano, sarna głodna, po kilkodniowej dyecie, objadła się na tęgim mrozie rzepaku, przeziębiła nim żołądek, więc ginąć musiała. Jako przykład przytaczam, iż zabito rogacza dobrze objedzonego. Ważył 32 kilo, a po wypatroszeniu 24 kilo, a więc miał w żołądku 8 kilo rzepaku. Wnętrzności były zimne zupełnie. Zima to tegoroczna, a raczej rok cały był dla zwierzostanu zabójczy.

Od 15 Lutego 1879 do 15 Lutego 1880 r. ubito:

Zwierzyny pożytecznej dzików 2, rogaczy 53, zajęcy 62, kaczek 209, kszyków 292, dubeltów 4, kulików 34, przepiórek 91, kuropatw 82, chruścieli 124, nurków 16, gęś 1, słonek 37. Razem sztuk 1007.

Zwierzyny szkodliwej: lisów 14, kotów 12, psów 11, jastrzębi 16, wron 35, srok 21. Razem sztuk 109. *Jan Ostrzechowski.*

Staresioło, 21 Lutego.

Prócz jednego warchlaka nie otropiono w rewirach żadnego dzika. Sarn ginie wiele, znachodzimy również dużo zajęcy nadjedzonych przez lisy. *Bacz.*

Rok 1879 zapisany w rocznikach myśliwstwa żałobnemi głoskami. Mokra wiosna zniszczyła przychowki, a resztki, które ocalały, zginęły w początkach rychłej i ostrej zimy. Według zagranicznych pism myśliwskich zwierzostan na długie lata jest zniszczony. Musi być źle, kiedy w najdoskonalszych kniejach zagranicznych w tym roku nawet nie myślą o zwykłem, a corocznie się praktykującem przetrzebieniu zwierzyny. *Tygodn. roln Warsz.*

Lataquie *) (południowa Syrya na wybrzeżu Oceanu śródziemnego) d. 20 Lutego 1880.

Zimę mieliśmy tu jak na południową Syryę bardzo ostrą, kilka razy nawet woda zamarzła, a dotąd góry stosunkowo niskie śniegiem są pokryte. Ponieważ od nas na północ zima była wszędzie jeszcze bardziej srogą, przeto różnorodne ptactwo zleciało tu na cieplice. Przez miesiąc była nasza okolica zasypana słonkami, ja sam ubiłem ich 679. A propos! zginął i ów znany ci z mego opowiadania antylopiarz, co mi się tyle lat wywljał — pyszny, wspaniały był to rogacz, głowę jego zachowałem, i jako znak tryumfu przywiozę dla ciebie.

Karol Brzozowski, vice-konsul hiszpański.

W powiecie Buczackim, w państwie Zadorów urządzono tymi dniami polowanie na dziki z pogonką. Dzik ranny od postrzału, rozjuszony, wymyka się przez linije nagónki, trafiony siekierą jednego z naganiaczy, która utkwiła w jego cielsku, i w tym stanie napotyka żandarma, patrolującego na granicy Krasiejowa. Żandarm strzela bezskutecznie, broniąc się uderza bagnetem dzika, lecz w tej walce dostaje cięcie kłem w udo, rana ciężka. Dzik powlekłszy się jeszcze z ćwierć mili, padł w skutek upływu krwi. *Gaz. nar.*

*) List do p. E. Simona.

Książę Adam Lubomirski uwiadamia nas o ciekawym wypadku z dzikiem. W majątku Jego, w rewirze Boratyckim, kniei Morawiska otropiono ogromnego odyńca. Urządzono natychmiast na niego polowanie. Ruszony wyszedł na księcia, który go dwoma celnymi strzałami ranił, atakowany przez dwa psy i przez nie jakoteż ranami rozjuszony wypadł na furmana na ścieżce w gąszczu stojącego. Nierozważny strzelił na sztych i chybił, rozsrożony potwór w jednej chwili przypadł do niego, obalił i zadał dwanaście cięć, i byłby niezawodnie w szmaty go rozszarpał, gdyby nie psy silnie go atakujące, z których jeden z rozpłatanym brzuchem na miejscu poległ. Pomściwszy się na myśliwym i psie, wpadł w wielki gąszcz, gdzie przez drugiego psa wciąż zajadle atakowany, uderzył niespodziewanie i tak nagle na podchodzącego drugiego strzelca, że ten na pięć kroków na sztych strzeliwszy chybił, a drugim strzałem już nie składając się wcale trafił go szczęśliwie między ślepie. Rozjuszona bestya runęła martwa pod jego nogi. Był to odyniec ważący przeszło 300 funt. wied., lubo bardzo chudy, ogromny, bardzo stary i wściekle zły.

INSERATY.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.